

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 9 - 16 kwietnia 1950 r.

Nr 14-15 (228-229)

Resurrexit

Wielkanoc. Święto Zmartwychwstania Pańskiego, święto triumfu życia nad śmiercią, która, jak to widomym przykładem oznamili nam Chrystus, nie jest kresem istnienia, a tylko progiem wieczności.

„Ja znam słowa żywota“ — mówił Boski Zbawiciel. Wiemy, co miał na myśli. Wiemy jakie to słowo zdolne jest przeważać szalę naszych przewinień i otworzyć wrota Królestwa Niebieskiego z mocą równą tej, która podnosiła kamień grobowy: — Miłość.

Chrystus nie zmartwychwstał wyłącznie dla swojej epoki. Ten cud dokonał się dla wszystkich pokoleń wszystkich czasów. Prawda Boskiej miłości została zawierzona ludziom: tobie, mnie, nam. Pokolenie pokoleniu miało przekazywać radosną nowinę, miało czynić ziemię podatną działaniu ożywczej łaski.

Czy zawsze wywiązywaliśmy się należycie z obowiązku troski o zawierzone nam dziedzictwo?

Nim odważymy się odpowiedzieć na to pytanie, powtórzmy w dosłownym brzmieniu stwierdzenie już raz na tym właśnie miejscu wyrażone: „Katolicyzm jako religia jest wieczny, niezagrożony żadnymi przemianami epok“.

Stąd właśnie czerpiemy naszą ufność: z wiecznej nieprzemijającej mocy, której jedynym prawym dysponentem jest Święty Kościół Powszechny. Kiedy więc próbujemy sporządzić „rachunek“ katolickich pokoleń, bilans naszych historycznych dokonań i strat — dbajmy o sformułowania precyzyjne, mówmy o katolikach, nie o Kościele.

Zauważy ktoś: sporządzenie takiego bilansu dzisiaj, kiedy

katolicyzm stracił pozycję religii uprzywilejowanej, jest niewłaściwe. To szkodliwy kanossysm, tym bardziej nie na miejscu, że manifestowany na oczach ludzi, nie mających z naszą wiarą nic wspólnego...

Jesteśmy odmiennego zdania. Właśnie dziś, gdy naszych katolickich przekonań nie strzegą żadne przywileje, musimy sobie jaśniej niż kiedykolwiek uświadomić, że jedyną siłą wyznawców jest posiadana przez nich prawda. Prawda, która tylko dlatego nie jest wszechobejmująca, ponieważ została zdradzona. Śladem Piotra zapieraliśmy się Chrystusa, zdradzając potrzeby upośledzonych przez ustrój, budowanego na wyzysku i nędzy rzesz.

Atmosfera katolicyzmu jest atmosferą prawdy. Zdanie sobie sprawy z win, obciążających nasze historyczne dziedzictwo, to zaledwie cząstka owej prawdy. Naczelny obowiązek chrześcijanina zasadza się na czymś rozleglejszym i istotniejszym: Ma my świadczyć Boga.

Cóż to znaczy świadczyć Boga Anno Domini 1950? — Znaczy to własną czynną postawą wykazywać, że Chrystus rodzi się, cierpi i zmartwychwstał dla wszystkich pokoleń wszystkich czasów, że Ewangelia nie przestała obowiązywać nawet wówczas, gdy my zapominaliśmy o Ewangelii.

Z atmosferą prawdy łączy się nierozdzielnie atmosfera odpowiedzialności. Za siebie, za naród, za ludzkość. Za naród, który buduje Polskę Ludową, za ludzkość, która zdążyła ku socjalizmowi.

To są konkretne obowiązki, jakim sprośamy skutecznie tyl-

ko wówczas, jeżeli przejmemy się treścią słów, potwierdzanych każdą sekundą owych trzydziestu trzech lat nieustającej, ofiarnej aktywności. „Wiara bez uczynków martwa jest“. — Tak mówił św. Paweł. A my? — Jakżeż często poprzestajemy na goli słownym rozróżnianiu: to ziarno, a to plewy, tu prawda, a tu fałsz... Wydaje się nam wówczas, że posiadaliśmy Prawdę, że świadczymy Boga.

Ale Prawda chowana w skarbcu zatrząśniętym dla najbardziej jej łaknących nie jest prawdą żywą. Pisaliśmy przed dwoma laty: „Wyzbądźmy się postawy zrutynizowanych sędziów, którym została pycha, a zabrakło autorytetu. Wszak już dawno katolicy przestali zapewniać zwycięstwo swej prawdzie, filozoficznej i moralnej w życiu publicznym.“

Nie wolno przeto samobójczo upraszczać zagadnienia, dzieląc ludzi na rycerzy Chrystusa i wojsko szatana, tylko Bóg zna klucze tego podziału. Radosnym, ale bardzo trudnym zadaniem dla nas, współczesnych katolików, jest spostrzegać w każdym człowieku i w każdym środowisku prawdę i z całą stanowczością, ale i bezwzględnością prawdę tę czynić pełną“.

Podtrzymujemy te sformułowania dzisiaj, kiedy praktyka życiowa uczyniła z nich truizmy. Podtrzymujemy je równie mocno, jak wówczas, gdy były w pełnym tego słowa znaczeniu rewolucyjne.

Chrystus zmartwychwstał, Bracia, dla wszystkich ludzi wszystkich czasów i nie powinno być człowieka, do którego ta radosna wieść mogłaby z naszej winy nie dotrzeć



Z okazji świąt Wielkanocy,
wszystkim Czytelnikom i Sympatykom
serdeczne życzenia przesyła
zespół redakcyjny

„DZIS i JUTRO“

Giovanni Papini

tłum. J. K.

ROK ŚWIĘTY I GRZECH

Bezużyteczne będą uroczyste przygotowania do Roku Świętego, jeśli zabraknie w duszach ludzkich tej istotnej przesłanki, stanowiącej jego rację bytu: pojęcia grzechu. Tłumy pielgrzymów, które rozleją się po Rzymie po wyjściu z pociągów, samolotów i samochodów, stanowiąc będą przedmiot korzyści dla handlu dewocjonaliami, dla hoteli, dla kolei państwowych, dla towarzystw komunikacji morskiej i powietrznej, ale nie będą miały żadnego znaczenia w porządku moralnym i duchowym, o ile pojęcie grzechu nie będzie u wszystkich jasne i wyraźne.

Rok Święty nie ogranicza się jedynie do ceremonii otwarcia drzwi, uroczystości w bazylice, procesji i oficjalnych audiencji. Rok Święty jest nadzwyczajnym darem przebaczenia, darem, który Matka nasza, Kościół ofiarowuje co pewien czas swym synom, rozproszonym po całej ziemi. Kto nie czuje w sobie grzechu, wyrzutów sumienia i żalu za grzechy, szczerzej i pokornej chęci poddania się zbawczej pokucie, ten nie może uważać się za prawdziwego pielgrzyma; będzie co najwyżej oszczędnym turystą wykorzystującym okazję odbycia ciekawej wycieczki.

Jedną z nowości przyniesionych ludziom przez Chrześcijaństwo jest pojęcie grzechu. Poganin uważał, że spełnił swój obowiązek względem bogów po spełnieniu obrzędów i złożeniu ofiary; faryzeusz uważał się za sprawiedliwego i usprawiedliwionego po zachowaniu wszystkich najbardziej drobiazgowych przepisów prawnych. Nie mieli oni i nie mogli mieć prawdziwego pojęcia grzechu. Tylko dumni chrześcijanie, świadomi i oświeceni mogą mieć poczucie grzechu jako odwiecznego, naglącego problemu w całej jego dramatycznej pełni. Czy możemy mówić i czy możemy spodziewać się, że to poczucie jest jeszcze żywe w masach nawet ochrzczonych? Dzisiaj wielu przeciętnych chrześcijan patrzy na grzech z całą kowitą obojętnością, a nawet z życzliwą pobłażliwością, szczególnie, gdy chodzi o ich własne osobiste grzechy. Nie pochwalają okrucieństw codziennego życia, lecz godzą się łatwo na grzech, o ile ten nie sprzeciwia się ich interesom i ich upodobaniom. „Ciało jest ułomne. Wszyscy jesteśmy grzesznikami. Miłosierdzie Boże jest tak nieograniczone...”

Prawda, lecz nie powinno to osłabiać i zacierać u winowajców wstydu i lęku przed grzechem. Sakrament pokuty rozwiązuje i oczyszcza tylko pod tym koniecznym warunkiem, który Jezus postawił jawno grzesznicy: „Idź i nie grzesz więcej”. Tymczasem większości chrześcijan formuła rozgrzeszenia wydaje się oczyszczeniem chwilowym, pozwalającym plamie duszy na nowo. Wielu naśladuje Mikołaja Tomasseo, który, jak sam opowiada w swym dzienniku: grzeszył rano, potem szedł do kościoła wyspowiadać się i przyjąć komunię świętą i za ledwie wyszedłszy z kościoła ponownie popełniał ten sam grzech tak, że jeszcze raz musiał uklęknąć przed konfesjonalem.

Grzeszyć to znaczy, jak wszyscy wiemy, sprzeciwić się jednemu z przykazań Bożych. Każde nieposłuszeństwo, o ile chodzi o najwyższego prawodawcę ludzi, jest zniewagą, zdradą, a w pewnych

wypadkach wprost bogobójstwem. Łatwa zgoda na własne i cudze grzechy wskazuje, że wiara w Boga i Jego prawa głosi się wprawdzie słowami, lecz nie odczuwa się jej i nie przeżywa. Wielu ludzi, nawet wśród chrześcijan, żyje i działa tak, jakby Bóg nie istniał, jakby Bóg nigdy nie przemówił. Dziś, bardziej niż kiedykolwiek, postawa ludzi wobec grzechu przypomina zachowanie się kotów względem własnych ekskrementów: nie idzie o to, by walczyć z grzechem i odczuwać żal, lecz jedynie o to, by najlepiej ukryć go i zataić. Podziwia się niewinnego i czystego jak cudowne zjawisko, lecz ceni się sprytnego, umiejętnego się zamaskować złoczyncą jako tego, który posiada „sztukę życia w świecie”. Wobec najokrutniejszego złoczyncy stosuje się w pewnym sensie współczest-

nictwo; nie czuje się okropności występku nawet najbardziej potwornego, lecz nieukrywaną sympatię do tego, który potrafił go popełnić, nie został przy tym wykryty i umiał przeprowadzić swe przedsięwzięcie za pomocą najdoskonalszych środków techniki kryminalnej. Jeśli sprawiedliwość ujmie jednego z nich rozdarłszy sieć jego intryg, niektórzy cieszą się z tego, (jak zwykle z cudzego nieszczęścia), ale są i tacy, którzy nie przypisują tego nieszczęścia okrucieństwu postępku, lecz jedynie nieudolności postępowania. Nie mówi się: „To jest potwór, to jest zwierzę”, lecz przeciwnie: „To jest dureń, to jest głupiec”. Sąd moralny, przeważający dawniej — zastąpiono sądem „technicznym”, a dla pewnych amatorów czarnej kroniki — sądem nie jako „artystycznym”. Wzrastające

powodzenie niektórych powieści i filmów, gdzie zabójcy i bandyci są bohaterami budzącymi sympatię, rozszerzanie się czasopism, gdzie są opowiadane i ilustrowane najbardziej brutalne i odpychające występkami — jest straszliwym świadectwem owej atrofii ludzkiego i chrześcijańskiego poczucia winy. Dawne pokolenia wzruszały się krwią Abła, pokolenia XX-go w. biorą stronę dzielnego, bezkarnego Kaina.

Jeżeli taki jest stosunek do właściwego występku podpadającego pod kodeksy ludzkie, łatwo można sobie wyobrazić ogólne nastawienie do grzechów, które figurują jedynie w kodeksie Bożym. Grzech nie ukazuje się już jako pomniejszenie bytu, trąd duszy, zniewaga wyrządzonej Stwórcy, lecz jako przejściowa słabość, którą należy ukryć.

Czyż wobec tego potrzebny jest ten nadzwyczajny dar łaski odkupiającej, udzielony w nadchodzącym roku w bazylikach rzymskich? Iluż będzie wśród tych pielgrzymów udających się po zniżonej cenie do grobu Apostołów, takich, którzy odczuwają naprawdę, do głębi duszy ranę i żądło grzechu?

Chcę się spodziewać, że będzie ich wielu, nawet bardzo wielu. Jednak wolno się obawiać, że wielu spośród tak zwanych pielgrzymów, — wyrosłych w świecie, który coraz bardziej umniejsza i zapoznaje pojęcie grzechu — będzie jedynie „dzielniymi” turystami, którzy pod pretekstem Roku Świętego zechcą zobaczyć lub zwiedzić ponownie sławny Rzym i piękną Italię.

Giovanni Papini

Antonio Baldini

OSTATNI PIELGRZYM

TO fotografia bardzo zabawna, która skłoniła mnie do snucia różnych fantazji. Wydało mi się, jakbym mógł za pomocą telewizji spojrzeć w przyszłość i zobaczyć scenę zamknięcia jubileuszu otwartego teraz, scenę z grudnia 1950-ego roku, gdy Rok Święty zwinął już swe namioty i ostatni pielgrzym, wraca powoli do domu, do swego klasztoru, zagubionego gdzieś w górach.

W stajni na przedmieściu nasz zakonnik zostawił mulara, z którym mniej więcej przed pięćdziesięciu dniami przybył do Rzymu. Teraz wraca by osiedlać swego „dzielnego wierzchowca”. Lecz przed powrotem chce mu pokazać fasadę i kolumnę św. Piotra, aby i on wróciwszy do kraju mógł świadczyć o tych cudach, które razem oglądali. Jeszcze jeden rozdział dorzucony do Kwiatków św. Franciszka (myślę o mule z cudu św. Antoniego).

Tu, w samym sercu katolicyzmu wierni całego świata czuli się jak we własnym domu, lecz nikt może nie zachowywał się z taką swobodą jak ten wiejski braciszek, opuszczający kolumnadę Berniniego, jak gdyby szedł po dziedzińcu swego góralskiego kościółka. Cały plac bazyliki rozbrzmiewa głosem dzwonu żegnającego ostatniego pielgrzyma takim samym serdecznym dźwiękiem jak w dniach największej uroczystości i najliczniejszego zgromadzenia tłumów. Na tle wyniosłej bazyliki postać zakonnika i jego posłusznego wierzchowca zarysowują się naturalnie i w sposób pełen prostoty. Tak jakby w najbardziej uroczystym heksametrze lacińskim złotego wieku znalazło się słowo zbyt pospolite jak „briscola” lub „tressette”, a heksametr skutkiem tego stałby się jeszcze bardziej „złoty”.

Ten obrazek stanowi idealną całość ze słynnym sonetem Petrarcki o „staruszkę”, który „wiedziony gorącym pragnieniem” przybywa do Rzymu a „złama-

ny brzemieniem lat” wraca „w ojczyste strony”, na swą parafię, pełen zgryzoty i przesyty.

Obrazek ten przypomina teatr, gdy kurtyna podniesie się przed czasem, ukazując zdziwienie skromnego dekoratora, nieświadomie przechodzącego przez scenę. Dźwięk podków mulara na bruku Placu wnosi świeżość, wiejską nutę w to

bliższego punktu właściwego Rzymu, a w odległości trzech mil od części najbardziej zaludnionych. Uczyniono to, chociaż były inne wspaniałe tereny jak Campidoglio, Palatyn, Kwirynał, Pincio i inne miejsca centralne jeszcze niezabudowane, gdzie bazylika mogła być i wyższa i łatwiej dostępna. A motyw kierujący tym wyborem

miałby, że św. Piotr czuje się dobrze tam, gdzie jest.

TAK wielki pan, jak Nassau William Senior zajmie z pewnością pokoje w hotelu Londyńskim na Piazza di Spagna lub w niedalekim hotelu Angielskim na ulicy Bocca di Leone. Na pewno nie przyjdzie mu do głowy szukać pomieszczenia w zajeździe „pod Orfeuszem” albo „pod Sokolem”, w wąskich i pachnących uliczkach o nieznanym nazwach między Borgo Pio i Corridoio di Borgo, o krok od bazyliki, lub też w innych zajazdach na ulicze Palline, Mascherino czy też Trzech Pajaców. Dziś jeszcze mieszkają wynajmują tam pielgrzymom jeden lub dwa pokoje za cenę czterech soldów. Na drzwiach czyta się karteczki z napisem: „Wynajmuje się łóżka na pierwszym i drugim piętrze”.

To słowo „łóżka” mówi wszystkim; mówi uczciwie: nie oczekujcie łóżka, gdzie będziecie mogli wyciągnąć się i obrócić wygodnie w czasie długotrwałego spoczynku. Rok święty jest rokiem pokuty a im większa pokuta, tym lepszy owoc dla przyszłego życia. Po upływie sześciu wieków znów będzie aktualne to, co powiedział o gospodarzach zajazdów rzymskich poeta Buccio di Ranallo w czasie jubileuszu 1350 r.:

„Obiecywali łóżko na trzy lub cztery osoby. Później jednak, gdy przyszło się kłaść, było ich sześć a nawet siedem do osmiu...” ... a na dodatek, nie daj Boże, młot brata Gaudentego umieszczony w sieni.

Antonio Baldini.



miasto z kamienia, a zapach stajni wywiera wrażenie czegoś naturalnego po woni benzyny zastawionej przez motory statków wylaniających się tu i ówdzie z oceanu.

MIASTO Watykańskie łączy się z wsią. Centrum chrześcijaństwa, urbanistycznie, można powiedzieć, leży na końcu świata. Niektóre przewodniki XIX-ego wieku (protestanckie: protestujące z powodu złego humoru, nie z powodu doktryny) zarzucają św. Piotrowi, że dał się pochować w miejscowości tak odległej od zamieszkałego śródmieścia Rzymu.

Ekonomista brytyjski Nassau William Senior napisał w swym dzienniku: „Jedną z najgłupszych rzeczy uczynionych przez ten głupi naród było to, że wybrano na bazylikę św. Piotra miejsce po drugiej stronie rzeki w odległości jednej mili od naj-

był najgłupszy, jak sobie tylko można wyobrazić: tradycja, że św. Piotr tam właśnie został pochowany”.

Dla katolika wyobrazić sobie bazylikę wzniesioną na miejscu, które nie zostało zroszone krwią tego pierwszego Następcy Chrystusa byłoby tym samym, co pomyśleć o przeniesieniu osi ziemskiej.

„Tutaj — pisał nieustraszony obrońca wiary Louis Veuillot, zaraz po przybyciu na swą placówkę — jest środek środka i na tym kamieniu wznosi się naprawdę świątynia Boga”.

Chcieć, by kościół św. Piotra został wybudowany w miejscu „wyższym”, dosłownie wyższym a jednocześnie znajdującym się tuż pod ręką, jest to myśl godna oszczędnego, skrupulatnego turysty o duszy wiecznie niezadowolonej i smutnej; młot naszego zamyślnego braciszka zrozumiałby więcej od niego, zroz-

POPIERAJCIE

Katolicki Uniwersytet Lubelski



NAMIESTNIK CHRYSZTUSOWY

BOŻE Wszechmogący i Wieczny, dziękujemy Ci duszą całą za wielki dar Roku Świętego. O Ojczy Niebieski, który widzisz wszystko, który przenikasz serca ludzkie i rządysz nimi, uczyni je w tym okresie łaski i zbawienia powolnymi na głos Syna Twego.

NIECHAJ Rok Święty będzie dla wszystkich rokiem oczyszczenia i uświęcenia, rokiem życia wewnętrznego i zadośćuczynienia, rokiem wielkiego powrotu i wielkiego przebaczenia. Daj tym, którzy cierpią, Twego Ducha Mocy, by ich zjednoczyć nierozdzielnie z Chrystusem i z Jego Kościołem.

WSPIERAJ, o Panie, Ziemskiego Namiestnika Twego Syna, biskupów, kapłanów, zakonników i wiernych. Spraw, by wszyscy kapłani i świeccy, młodzież i dorośli stworzyli w ścisłej łączności myśli i uczuć jedną silną opokę.

NIECH Twa łaska roznieci we wszystkich ludziach miłość do nieszczęśliwych, którzy przez biedę i nędzę zeszedli do warunków życia, niegodnych istot ludzkich. Wzbudź w duszach tych, którzy Ciebie nazywają Ojcem, głód

i pragnienie sprawiedliwości społecznej i miłości bratniej w czynie i w prawdzie.

DAJ, Panie, pokój za dni naszych, pokój duszom, pokój rodzinom, pokój ojczyźnie, pokój wśród narodów. Niech tęcza pokoju i pojednania otoczy łukiem swego błogosławionego światła ziemię, uświęconą życiem i męką Twego Boskiego Syna.

BOŻE wszelkiej pociechy! Głęboka jest nasza nędza, ciężkie są nasze winy, niezliczone nasze potrzeby, lecz jeszcze większa jest nasza ufność w Tobie. Świadomi naszej niegodności, składamy po dziecięcemu los nasz w Twoje ręce, jednocząc nasze wstępnictwo z wstawiennictwem i zasługami Maryi Dziewicy i wszystkich Świętych.

DAJ chorym poddanie się i zdrowie, młodzieńcom silną wiarę, dziewczętom czystość, ojcom pomyślność, rodzinom świętość, matkom skuteczność w ich posłannictwie wychowawczym, sierotom czułą opiekę, a wszystkim łaskę Twoją dla przygotowania i osiągnięcia szczęśliwości wiecznej w niebie. *A m e n.*

(Modlitwa Papieża na Rok Święty)

ZMARTWYCHWSTANIE

PODCZAS Wielkiego Tygodnia Kościół rozpamiętuje tajemnice Męki i Zmartwychwstania Pańskiego. Niedługo wierni oglądali misteria, gdzie na deskach teatru średniowiecznego słabi ludzie usiłowali z pokorą powtórzyć tamte dzieje. Możemy sobie również pomyśleć, czym być musza święta wielkanocne dla pielgrzymów przybywających do Jerozolimy, gdy mogą swymi rękami dotykać tych murów i kamieni, na które padało spojrzenie Chrystusa.

Dzięki świadectwu Ewangelii możemy niejako towarzyszyć uczniom i wyznawcom Jezusa patrzącym na Jego ostatnią ziemską walkę, która w pewnej chwili wydawała im się kłęską.

Spod wzgórza Trupiej Czaszki wracali ludzie, którzy zbiegli się na widowisko. Może byli to ci sami, którzy niedawno stali palmy pod nogi oślecia wiozącego Jezusa w triumfalnym pochodzie. Cóż za szaleństwo kazało im krzyknąć: „ukrzyżuj”? Jezus nie rzucił na nich przekleństwa. On, który wybuchnął gniewem wobec obłudy faryzeuszów, który milczał swoim straszliwym milczeniem przed obliczem Heroda, — dla tego biednego, zaślepionego tłumu znajdzie tylko słowa miłosierdzia: „Odpuść im, Panie, albowiem nie wiedzą, co czynią...“ Ten tłum był w istocie spragniony miłości, która jest źródłem i celem życia. Nawet jego gniewne okrzyki były tylko obłąkanym świadectwem tej straszliwej tęsknoty, którą tylko On mógł zaspokoić. Św. Paweł zdradzi nam potem błysk tajemnicy w tych niezapomnianych słowach: „Gdzie spotęgował się grzech, tam tym obficie spłynęła łaska, aby jako grzech królowała na śmierć, tak i łaska przez sprawiedliwość królowała na życie wieczne...“

Życie wieczne... Czy potrafimy te słowa zrozumieć w takim blasku, jaki ukazał się ukrzyżowanemu łotrowi, do którego Jezus powiedział: „Dziś będziesz ze mną w Raju“? Kim był ten człowiek? — Może zbiegłym niewolnikiem, może nędzarzem od urodzenia. Czy można myśleć bez drżenia o tym momencie, gdy brał on krzyż na ramiona i nie wiedział, że za chwilę jego głód będzie nasycony, że oto odzyska wszystko teraz, kiedy już wszystko stracił. Jego słowa są modlitwą całej ziemi: „Panie, wspomnij na mnie, gdy przybędziesz do Królestwa Twego“.

Tak zapewne modlili się apostołowie gdy toczyli coraz cięższą walkę z ogarniającym ich zwątpieniem. Jeszcze uczniowie na drodze do Emaus powtórza ze smutkiem: „A myśmy się spodziewali, że On miał odkupić Izraela...“ — Był to mrok zapadający po dniu Ukrzyżowania, mrok, przez który my wszyscy musimy iść ku światłu.

A światło to rozbłysło w niedzielę Zmartwychwstania. Oślepiło strażników rzymskich i napęliło ziemię ciszą oczekiwania. Uczniowie jeszcze nie wiedzą... Ale oto idą pobożnie nie-

wiasty, by namaścić ciało Chrystusa wonnymi olejkami. Znamy tę scenę z niezliczonych obrazów. Jak na tajemnicę Krzyża możemy spojrzeć oczyma umęczonego łotra, którego ciało drżało od lęku i łaknęło miłosierdzia, tak do opuszczonego Grobu w niedzielny poranek pójdziemy razem z Marią Magdaleną. Gdy ukazał się Jezus, oczy jej były zakryte. Ale wystarczyło jedno słowo: „Mario“. Wtedy, jak opowiada Ewangelia, ona obróciwszy się rzecze Mu: Rabboni. (co znaczy: Mistrzu).

Ten cud dokonał się dla tych, którzy ufali, i dla tych, którzy zwątpili. Chrystus rozumiał naszą słabość i dlatego mówił do Tomasza: „Włóż tu palec twój i oglądaj ręce moje, i wyciągnij rękę twoją i włóż w bok mój, a nie bądź niewiernym, lecz wierzącym“. Niedziela Zmartwychwstania przemawia do mędrców i maluczkich, do chorych, do nędzarzy, do grzeszników i celników — do wszystkich ludzi. Aby mieli światło na swojej drodze, która wiedzie ku zmartwychwstaniu.

Zawsze ponad schylonymi i wzniesionymi głowami ludzi płoną, niby oślepiające gwiazdy, prorocтва z Kazania na Górze: oto cisi posiadają ziemię, łaknący będą nasyceni... Już pod mrocznym niebem starożytności psalmista widział tę chwałę przyszłego Królestwa, gdzie „dobroć i wierność spotykają się z sobą, sprawiedliwość i pokój ucałują się wzajemnie...“ Potem strzeliste wizje Apokalipsy pobiegły w górę i ułożyły się w zarysy Jerozolimy Niebieskiej.

To Królestwo, które rozkwitnie po spełnieniu czasów, po zmartwychwstaniu ciała, jest już teraz przygotowywane w sposób tajemniczy w naszym ziemskim życiu, w zdarzeniach ziemskiej historii. Jakże trudno czasem rozpoznać jego powolne narastanie. Ale tajemnica Zmartwychwstania przypomina, że nawet nasza samotność jest tylko pozorna. Bo na każdym zakręcie drogi możemy stać się podobni do tych uczniów idących ku Emaus, którzy poznali Chrystusa po łamaniu chleba. — Niewidzialnymi często drogami kroczy świat ku Królestwu Zmartwychwstania. Potężny wicher miłości uderza ciągle w nędzę ludzkości, w nędzę materialną oraz w tę głębszą nędzę, od której nie chroni żadne bogactwo. Rośnie Królestwo poprzez zasługi Kościoła, którego bramy są otwarte dla wszystkich ludzi.

W Święto Zmartwychwstania każdy chrześcijanin czuje się pielgrzymem, który przystąpił do Krynicy Odkupienia. Myślą i sercem błądzimy po drogach Jerozolimy, a potem zmierzamy ku wzgórzom Rzymu, skąd na cały świat płyną modlitwy Roku Świętego. Rok Święty, Rok Łaski, Rok Przebaczenia, w którym ze szczególną siłą możemy przeżywać ciągle na nowo niewyczerpaną radość, że Jezus nie odmówił pokornej modlitwie i że wspomni na nas, kiedy przybył do swego Królestwa.

ZYGMUNT KUBIAK.



Pius XII przy Mszy św.

LATO roku 29 było dla Jezusa okresem podróży poza Galileję. W czerwcu, zaraz po powrocie z Jerozolimy, gdzie uzdrowił paralietyka, wyruszył do Fenicji, gdzie wydarł szatanowi córkę niewiasty Kananejskiej; potem przeszedłszy zapewne koło Sydonu, zawsze pięknego w otoczeniu swych pysznych ogrodów, przeprawił się przez Jordan u mostu Synów Jakubowych i przybył na dwutygodniowy mniej więcej pobyt do jednego z miast dekalpolskich; na ten czas przypada uzdrowienie głuchoniemego. Nad brzegiem jeziora miało miejsce drugie rozmnożenie chlebów. A ponieważ upały wzmagaly się, poszedł ku północy, na te wspaniałe zalesione wyżyny, które są stopniami wielkiego Hermonu.

Przybywszy tu, znalazł się Jezus na samej granicy Palestyny, w kraju, który Żydowi z Jerozolimy, czy nawet z Nazaretu, w niczym nie przypominał widoków jego ojczyzny. W dawnych czasach, chcąc określić najdalsze granice ziemi ku północy i ku południu mówili Hebrajczycy „Od Dan po Bersabę“; Dan jeszcze istniało; było to dawne Lais, miasto patryjarchów: nazwę swą zmieniło, gdy osiedliło się w jego okolicy pokolenie Dan. Temu, kto świeżo opuścił spalone słońcem równiny Tyberiad, okolice Anty Libanu wydają się rajem. Może ożywcze tuższe powietrze sphywa z dziewiczych śniegów, okrywających zbocza Hermonu, może bije z wód, które obfitymi strumieniami płyną w cieniu drzew, opadając ze skały na skałę i zalewają przejścia i ścieżki. Topole, drzewa migdałowe i terpentynowe, wierzy i figowce, zaplatają się o siebie, tworząc malownicze gąszcz; wszędzie unosi się słodki zapach oleandrów. Łatwo zrozumieć, że Grecy oczarowani pięknosciami tych okolic, w szmerze drzew i śpiewie strumieni dosłuchiwali się krzyku wiecznej pogańskiej radości: „Żyje Pan, wielki Pan!“ Tuż obok głębokiej wyrwy, z której bije jedno ze źródeł Jordanu, widać jeszcze grotty, urządzone niegdyś jako świątynie boga wiecznie się odradzającej roślinności. Ta okolica, od czasu dynastii Lagidów nazywała się krainą Panias. Na wąskim występie skalnym ponad źródłem, wybudował Herod Wielki na cześć Augusta świątynię z białego marmuru, której ruiny istnieją dotąd. Jego syn, tetra-

cha Filip, władca tego kraju, z tych samych pobudek nazwał „Cezareą“ Nowe miasto, które tu wybudował. Przebywał w nim chętnie.

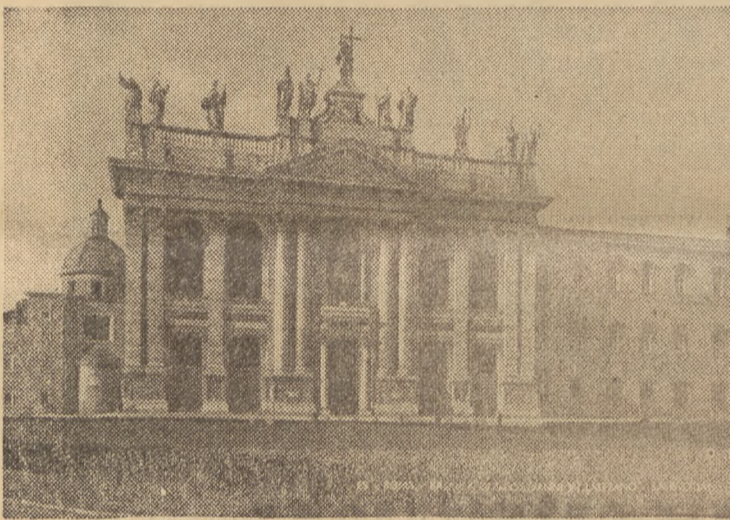
„I wyszedł Jezus z uczniami swymi do osad położonych przy Cezarei Filipowej“ (Marek VIII, 27). Zauważmy mimochodem precyzję wyrażenia: Cezarea była zbyt zarażona pogaństwem, aby do niej wchodzić! Takie szczegóły są znamiem świadectwa prawdziwego. Tutaj więc, na jednej z tych teras, skąd otwiera się szeroki widok na śnieżnym Hermon, lub też na jedno z wybrzeży Jordanu, o piasku tak miękkim dla bożej nogi, rozegrała się scena decydująca, scena ustalająca ostatecznie tę hierarchiczną zasadę przyszłego Kościoła, której pierwsze podwaliny zarysowały się już przed tym.

Rozmawiając pewnego dnia z Apostołami Jezus zapytał ich: „Zakogo mnie ludzie mają?“ „Jedni, odpowiedzieli uczniowie, za Jana Chrzciciela, drudzy za Eliasza, a inni za Jeremiasza albo jednego z Proroków. — A wy, za kogo macie?“ — Wtedy odpowiadając Piotr, rzekł mu: Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego. — Błogosławiony Szymonie Bar Jona, bo ciało i krew nie objawiły tobie, jeno ojciec mój, który jest w niebiesiach. A ja ci powiadam, że ty jesteś Opoką, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, i bramy piekielne nie zwyciężą go. I tobie dam klucze królestwa niebieskiego: a cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiach, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiach. Wtedy przykazał uczniom swoim, aby nikomu nie powiadali, że on jest Jezusem Chrystusem“ (Mat. XVI, 13, 20; niekompletnie u Łuk. IX, 13, 21 i Marek VIII, 27, 30).

Opowiadanie ewangeliczne zawiera dwa rysy zasadnicze. Naprzód Piotr, w imieniu Dwunastu uznaje Bóstwo Jezusowe. Nie po raz pierwszy zrozumieli uczniowie kim był ich mistrz: już, na przykład, po uśmierzeniu burzy (Mat. XIV, 33) „złożyli mu pokłon“ jako „Synowi Bożemu“; ale to uroczyste stwierdzenie nabiera w tej chwili szczególnego znaczenia. Zdarzały się opory, zdarzały oznaki niechęci i wrogości; mimo cudów, część rzesz, zblazowana, przestała iść za Jezusem. Oni, Apostołowie, nie wątpią, nie chwieją się, są w swej wierze wy-

trwali. Im będzie zlecone przekazywać tajemnicę mesjańską. Ale nie natychmiast! Nie w tej chwili, nie teraz, gdy znajdują się w kraju prawie pogańskim, gdy wiele umysłów żydowskich pozostaje w rozterce. Oni sami, zanim zagnają ją głosić, muszą w pełni zgłębić jej znaczenie i dlatego właśnie Jezus nakazuje im milczenie, dlatego także, wkrótce potem, zapowiada im swoją mękę; oni jednakowoż są depozytariuszami tej tajemnicy, oni — jak mówi o księżach liturgia ich święceń — „pomocnikami“. Nawet użycie bezpośrednio potem słowa „Kościół“ ma swoje wyraźne znaczenie; do k a h a l u, do „społeczności“ żydowskiej doda „zgrupowanie“ chrześcijańskie, coś więcej, doda coś istotnego: współdziałal w Bóstwie Mesjasza, udział tak w jego chwale, jak i w jego cierpieniu.

Niemniej doniosłe jest i drugie wskazanie tekstu. Widzimy, że Piotr jest tu wyznaczony na zwierzchnika przyszłego Kościoła i to w słowach bardzo mocnych. Gra słów „Ty jesteś opoką“, za pomocą której Jezus, zaraz przy pierwszym spotkaniu, zmienił imię Szymona, znajduje tu pełne wytyśnienie. Niewiadomo, czy to imię Piotr, „Kefas“, było w języku aramejskim używane jako imię własne, zanim użył go w tym sensie Chrystus, ale znaczenie jego jest jasne. Ot tu, obok, skała dźwiga świątynię, wybudowaną przez Heroda dla Augusta: podobnie i



Fronton Bazyliki św. Jana na Lateranie

ten człowiek, o wierze niewzruszonej, ta opoka pewności, Piotr, będzie podtrzymywał Kościół; gra słów, nasunięta być może przez bliski widok nie dopuszcza żadnych wątpliwości. Tak też rozumie ten ustęp Kościół Katolicki: jest on dla niego usprawiedliwieniem władzy Papieża, bezpośredniego spadkobiercy Piotra, który jest podobnie jak on skała, dźwigająca Kościół Chrystusowy.

Krytyka niezależna, opierając się na tym, że słowa te znajdują się jedynie w tekście świętego Mateusza, utrzymywała, że są interpelowane. Miał je w ów tekst wsunąć jakiś kopista w czasach, gdy Kościół stał się już faktem historycznym i gdy chciał dać podbudowę teoretyczną pod władzę papieską. Jednak nawet w najstarszych, posiadanych przez nas tekstach świętego Mateusza, nie ma śladów tej interpelacji. Ustęp znajduje się we wszystkich kodeksach, we wszystkich, najstarszych nawet wersjach. Poza tym wszyscy specjaliści, łącznie z O. Lagrange, twierdzą zgodnie, że we wszystkich czterech Ewangeliach trudno by znaleźć opowiadania bardziej aramejskiego, tak przez swe wyrażenia, jak przez swe przenośnie i swoją konstrukcję. Poza grą słów Piotr-Opoka¹⁾ wiele wyrażen jest tu dla tradycji żydowskiej typowych. Od przynajmniej czterech wieków „bramy“

Daniel - Rops

„TY JESTEŚ

oznaczały potęgi piekielne, tu są aluzją do „bram Szeolu“ (po grecku Hadesu), miejsca, gdzie przebywali zmarli (stąd też poszła nazwa, którą oznaczano Turcję „Wysoka-Porta“ (Porte — drzwi, brama itp). Wzmianka o kluczach jest jeszcze bardziej semicka: jeszcze dziś można spotkać w krajach arabskich właścicieli, którzy w swej pysze przewieszają przez ramię z obu stron zwisający pęk wielkich kluczy; w Izajaszu (Izaj. XX, 22) czytamy, że majordomus królewski nosi na ramieniu klucze od domu Dawidowego i że „otworzy, a nie będzie ktoby zamknął; i zamknie, a nie będzie ktoby otworzył“. Wyrażenie „związać, rozwiązać“ było powszechnie używane przez Uczonych w Piśmie w tym właśnie znaczeniu, w jakim użył je Jezus; w jakieś trzydzieści lat później rabbi Nekonia zakończy swe kazanie, prosząc Jahwy „by nie pozwolił związać co on rozwiązał, ani rozwiązać co on związał, by nie uczynił czystym to, co on za nieczyste uznał, ani nieczystym to co on czystym nazywał“. Argument więc, że tamci obaj Synoptycy przemilczają tę scenę nie jest wystarczający, aby obalić ten ustęp

ściola: ale Historia nie przypuszcza, by było więcej powodów do podawania w wątpliwość tego ustępu, niż całej Ewangelii.

Oto więc Piotr, wyróżniony z pośród innych apostołów, ma zaszczyt dowiedzieć się, że prawdę powiedział wyznając, że Jezus jest Mesjaszem i że on właśnie stanie zwierzchnikiem społeczności chrześcijańskiej. Ci najwierniejsi z wiernych, którzy zostali przy Jezusie, gdy jego nauka o Chlebie żywota oddaliła od niego wyznawców bardziej chwiejnych (Jan VI, 66), zasłużyli, by poznać najgłębsze tajemnice mesjańskie. Mogą jeszcze stawiać sobie pytanie, jak się będzie odbywać to za powiedziane „pożywienie“ i w jaki sposób ciało i krew Pana staną się ich pokarmem. Gdy go wyznają „Synem Boga żywego“ mogą także zastanawiać się jeszcze jaka bariera — o ile w ogóle jakakolwiek istnieje — oddziela jego naturę od natury Bożej. Nie za wsze będą prożnięni w tej nieświadomości.

„Odtąd począł Jezus ukazywać uczniom swoim, że potrzeba, aby szedł do Jeruzalem i tam cierpiął wiele od starszych, i uczonych w Piśmie i przedniejszych kapłanów i był zabity, a trzeciego dnia zmarłych powstał“ (Mat. XVI, 21, 23; Marek VIII, 31, 33; Łuk. IX, 22). Była to pierwsza zapowiedź Męki, pierwsze i katoryczne ostrzeżenie Apostołów, aby nie rozumieli mesjańskiego posłannictwa tak, jak rozumieli je Żydzi pospolic, by nie myśleli, że oznacza ono założenie pełnego chwały królestwa doczesnego. Tekst ewangeliczny nie ukrywa przed nami, że słowa te niesłychanie wzburzyły proste apostołskie serca i wtedy właśnie Piotr, jak zawsze gwałtowny, ośmiela się zaprzeczyć swemu Nauczycielowi i biorąc go na bok mówi mu: „Boże cię uchwaj Panie! nie przyjdź to na ciebie“. Ale ściga na siebie groźną odpowiedź Jezusa: „Odejdź ode mnie szatanie...“ A chociaż rzecz ta została powiedziana, choć zostanie powtórzona jeszcze kilkakrotnie, jednakowoż w chwili gdy się ziści, napelni Apostołów przerażeniem, trwogą i rozpaczą.

A przecież przepowiadając swą ludzką śmierć, zapowiada Jezus także, że chodzi tu tylko o stan przejściowy, że po śmierci nastanie dzień zwycięstwa. „Syn Człowieczy przyjdzie w chwale Ojca swego z aniołami swymi i wtedy odda każdemu według uczynków jego“ (Mat. XVI, 27; Marek VIII, 38; Łuk. IX, 20). I kto wie, czy w nadnaturalnym widzeniu nie ukazał im, czym będzie to jego przyście powtórne.

1) Porównanie z kamieniem służącym za fundamenta odnajdujemy w tradycji żydowskiej. Na przykład: „Przeło mówi Pan Bóg: oto ja założę w fundamentach Sion kamień, kamień doświadczony“ (Izaj. XXVIII, 16).



Wnętrze Bazyliki św. Piotra

tłum. Z. Starowieyska - Morstinowa

O POKA”

Było to mniej więcej w osiem dni po wyznaniu Piotra, czyli wedle obyczaju żydowskiego sześć dni pełnych. „Wziął Jezus Piotra i Jakuba i Jana i zaprowadził ich na górę wysoką, na uboczu. — A gdy się modlił, zmienił się wygląd jego oblicza, a szaty jego stały się jaśniejsze i białe bardzo jako śnieg, jakich nawet farbiarz na ziemi wybielić nie zdoła. — I ukazał się im Elias z Mojżeszem i rozmawiali z Jezusem. I mówili o odejściu jego, jakiego dokonać miał w Jeruzolimie. — Piotr zaś i ci którzy z nim byli zmorzeni byli snem. A ocknąwszy się, ujrżeli chwałę jego i dwóch mężów, którzy przy nim stali. Wtedy Piotr nie wiedząc co mówi rzekł do Jezusa: Nauczycielu, dobrze nam tu być, uczynmy tedy trzy przybytki: tobie jeden i Mojżeszowi jeden i Eliaszowi jeden. A gdy on mówił stał się obłok i osłonił ich. I bojaźnią byli zdjęci. I stał się głos z obłoku mówiący: Ten jest syn mój miły, jego słuchajcie. A natychmiast rozejrzawszy się, nikogo więcej przy sobie nie widzieli, jeno samego Jezusa. A gdy zstępowali z góry, przykazał im Jezus, aby nikomu nie powiadali tego, co widzieli, aż do czasu, gdy Syn Człowieczy zmartwychwstanie. I zachowali milczenie o tym zdarzeniu, a między sobą rozprawiali, cóż by to znaczyło: gdy zmartwychwstanie“ (Ma. XVII, 1, 8; Marek IX, 2, 8; Łuk. IX, 28, 36).

Scena ta ma w sobie jakąś dziwną wielkość. Wszyscy artyści, na przestrzeni wieków czerpiący z niej natchnienie, czy będzie to florencki Fra Angelico, czy bizantyński mozaista z Dafni, czy romański rzeźbiarz w La Charité-sur-Loire, czy miniaturzysta królowej Ingeborgi — podkreślają zawsze przerażone osłupienie i niezwykle zmieszanie tych trzech nieszczerzonych ludzi, którzy wyrwani ze snu widzą nagle, że stoją w obecności Boga. Wielkie objawienie Starego Testamentu, nawet objawienie na górze Synaj, nie mają tej promiennej wspaniałości, tak bardzo ta-

jemniczej a zarazem tak pełnej ukojenia. A równocześnie scena ta ma w wysokim stopniu piętno prawdy. Jakże dobrze widzimy tych trzech, którzy zmęczeni długą wspinaczką dali się zmóc senności, a teraz przecierają oczy, nie wiedząc czy śpią, czy śnią; i wydaje nam się, że jeszcze słyszymy, jak najzaciejszy Piotr, oszołomiony zachwytem i szczęściem, wyraża swe uczucia w sposób jakże niezgrabny, prawie śmieszny! A znaczenie owej sceny jest całkowicie jasne. Jak dotąd Apostołowie wierzyli w Jezusa, gdyż słuchali jego słów i widzieli jego cuda; ale nie oglądali go twarzą w twarz tak, jak oglądał Mojżesz Przedwieczny. Apokryf zwany *A k t y J a n a* podaje nam „logion“, nabierający na tle sceny cech autentycznych: „Nie wydawałem się tym czym jestem, nie jestem tym kim się być wydaję“ — miał zgodnie z tym apokryfem powiedzieć Jezus. Tajemnica Chrystusa była zakryta przed ludźmi, i mylił się ów drugi apokryf (*P s e u d o — M a t e u s z*) gdy powiada, że „skoro Jezus spał światłość Boża jaśniała nad nim“.

Jezus objawił się tylko tym trzem uprzywilejowanym. We wszystkich okolicznościach życia był człowiekiem podobnym do innych; tu, na górze, *p r z e m i e n i ł* się; tekst grecki używa tu słowa może odpowiedniejszego *m e t a m o r f o z a* i tego samego słowa użyje święty Paweł w drugim Liście do Koryntian: „przemienieni w obraz Chrystusa patrząc będą z odkrytą twarzą na chwałę Pańską“ (II, Kor. III, 18). Na to widzenie będą się powoływać Apostołowie, a przede wszystkim kim święty Piotr, jako na nieodparte świadectwo, jak na jeden z fundamentów wiary; historia zna podobne fenomeny (na przykład głosy przemawiające do Joanny d'Arc), które odegrały w danych okolicznościach rolę decydującą. Przemienienie umieszczone bezpośrednio po pierwszej zapowiedzi Męki i wyraźnie o Męcę

wspominające, miało ostatecznie złożyć w umysły Apostołów ową pewność, którą później, w swoim czasie, stanie się im jasna. „Między sobą rozprawiali, cóż by to znaczyło: gdy zmartwychwstanie?“ później — zrozumieją. Parcie Leon Wielki, znakomity teolog V wieku, powiedział, że celem Przemienienia było już z góry, wyrwać z duszy uczniów „zgorzenie Krzyża“. Czyż ci właśnie trzej Apostołowie będą pamiętać o owym promiennym poranku na górze, owej nocy, gdy w Ogrodzie Oliwnym tak samo zmożeni snem będą roztrzęsionymi świadkami innej tajemnicy, innego bardziej ponurego dialogu między Jezusem a siłami Bożymi?

Nie jest pewne, gdzie rozegrała się ta scena. Dwie góry spierają się o ten zaszczyt, te dwie góry, o których mówił Psalmista „Tabor i Hermon w imieniu twym radować się będą“ (XCIX, 13). Bardzo stara, czwartego wieku sięgająca tradycja twierdzi, że chodzi tu o górę Tabor, ową kragłą i łysą wyniosłość, sterczącą samotnie pośrodku pół Galilei: dziś wznosi się na niej piękna bazylika, poświęcona przez Franciszkanów tajemnicy Przemienienia Paskiego. Przeciwno tej koncepcji wysuwają niekiedy zarzut, że Tabor, wysoki na 562 metrów, nie odpowiada temu wrażeniu potężnej góry, jakie sugeruje tekst ewangeliczny. Zapewne: rozciągający się stąd krajobraz jest wspaniały: obejmuje my bowiem wzrokiem rozległe przestrzenie sfałowanych pagórków, całą dolinę Jordanu, usianą wielkimi płamami jezior i stawów, góry Galaad na wschodzie, a na zachód błyszczące i migoczące morze Śródziemnomorskie. Te ramy więc, a także i szczyt góry, dość wąska skalista płaszczyna, porośnięta jałowcem i omiatana ustawicznymi wichrami, dość odpowiadają nastrojowi tajemniczej sceny. Ale za czasów Chrystusa na szczycie Taboru wznosiła się rzymska forteca, a w niej mieszkała wojskowa załoga, i naprawdę wystarczy popatrzeć na fotografię, by zadać sobie pytanie: czy ta okrągła czapka, stercząca pośród zbóż, może być porównana z Mojżeszowym Synajem, czy mogła służyć za miejsce tak niezwykłego i potężnego objawienia? Zresztą jest powiedziane, że po zejściu z góry „przechodzili przez Galileję“; otóż Tabor jest w samej Galilei! Toteż często wskazywano jako miejsce Przemienienia Hermon, położony tuż koło Cezarei Filipowej, tam bowiem znajdował się Jezus bezpośrednio przed tym, Hermon, „pierworodny z pośród wysokich gór“, jak mówiło izraelskie przysłowie. dochodzi do wysokości 2800 metrów; z jego szczytu widok sięga jeszcze o wiele dalej, bo aż po pustynię syryjską i po wybrzeże fenickie, także wzrok obejmuje całą Ziemię Świętą i jednym spojrzeniem można ogarnąć kraje żydowskie i ziemie pogan. Dziś trzeba sześciu godzin, aby osiągnąć szczyt Hermonu, cztery aby zeń zejść. Jezus i jego trzej wierni uczniowie wrócą dopiero nazajutrz, co nasuwa myśl, że wyprawa była daleka. Ewangelicści nie przywiązywali wagi do tego drobnego szczegółu; czy chodzi o jeden szczyt czy o drugi, rzecz zasadnicza pozostaje niezmienną, a nasz umysł oniesmielony i ośniony wpatruje się w tę promienną chwałę Syna Człowieczego, która rozblęła w słonecznej piękności sierpniowego poranka.

Także i reszta wypadków, jakie zaznaczyły powrót Jezusa na dolinę zdaje się być skąpana w tej osłepiającej jasności. Gdy Jezus wchodzi w oczekujący go zwarty



Kopuła Bazyliki św. Piotra

tłum, zaskoczony jego pojawieniem, gdyż właśnie w najlepsze o nim rozprawiał — uzdrowia epileptyka, którego uczniowie jego uzdrowić nie potrafili (Łuk. IX, 37, 43; Marek IX, 14, 29; Mat. XVII, 14, 21). Potem daje swoim uczniom ową wspaniałą naukę, gdy wskazuje im na dziecko i pieszcząc je mówi: „Jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie jako dzieci, nie wnikniecie do królestwa niebieskiego“ (Mat. XVIII, 3). I poucza ich ciągle o prawie miłości, o miłości poszechniej, uniwersalnej. Wszystko to są wypadki i nauki ważne, ale jednak mniejsze wywierają wrażenie, niż to podwójne objawienie, które miało co dopiero miejsce, toteż widzimy, że serca Apostołów są do głębi poruszone właśnie tymi ostatnimi przeżyciami. Wpytują Nauczyciela o wszystko co zaszło, pytają co znaczyła obecność Eliasza w widzeniu. Przecież powrót Eliasza miał być oznaką czasów mesjanistycznych? A on odpowiada, że Eliasz wrócił pod postacią Chrzeciela, tak jak było przepowiedziane i że podobnie jak cierpiał Po-

przednik i on, Jezus, będzie musiał cierpieć i umrzeć (Marek IX, 9, 13; Mat. XVII, 9, 13). Ciągłe więc ta straszliwa wróżba, ciągle ta groźba? Bezpośrednio po widomej obietnicy przyjęcia chwalebne, to ustawiczne stwierdzenie, ta ciągle powtarzana zapowiedź Męki! I jeszcze po raz drugi przed opuszczeniem Galilei powtarza im Jezus tę ponurą zapowiedź: bo zbliża się dzień, gdy udając się do Judei, pójdzie ku miastu, które ma być miejscem jego ofiary. I dopiero wtedy, gdy kat dopełni swe go dzieła, ci pierwsi chrześcijanie, dotąd tak niedostępni najwyższej prawdzie, zrozumieją wszystko, co słyszeli, a z Krwi Chrystusa narodzi się Kościół.

A on im mówił: „Syn Człowieczy będzie wydany w ręce ludzi, i zabiją go, ale zabity trzeciego dnia zmartwychwstanie. Ale oni nie rozumieją tego słowa i było zakryte przed nimi tak, że nie pojęli. A bali się pytać go o to słowo“ (Marek IX, 30; Mat. XVII, 21, 22; Łuk. IX, 44, 45).

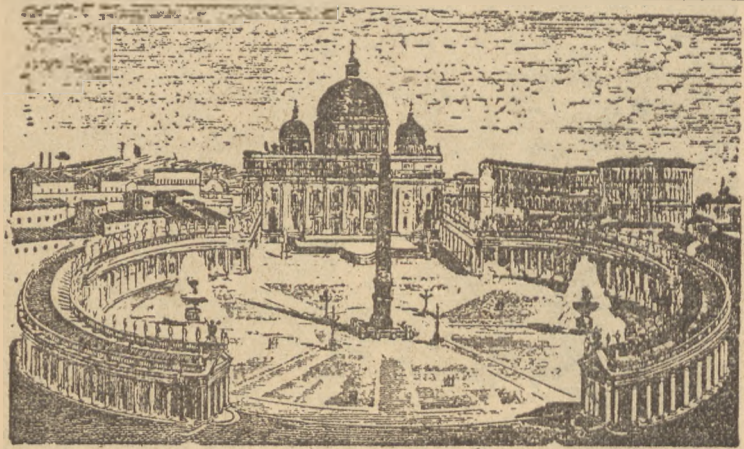
Daniel-Rops



Ołtarz główny Bazyliki św. Piotra



GRÓB ŚWIĘTEGO PIOTRA



POBOŻNI pielgrzymi, którzy w nadchodzący roku zajdą do „Grot watykańskich“, odniosą wrażenie, że zostali przeniesieni w przeszłość. Jeśli idąc głównymi i bocznymi korytarzami nie będą patrzeć w górę i zapomną o ludziach idących przed nimi, będą mogli przypuszczać, że żyją w IV w. chrześcijaństwa. I rzeczywiście znajdą się w samym sercu strefy cmentarza starożytnego Rzymu, doskonale zachowanych dzięki energii Konstantyna i hojności współczesnego mu papieża.

Starożytni nazywali wzniesienia ciągnące się w mniejszej lub większej odległości od prawego brzegu Tybru ze strony Rzymu *Vaticani Montes*. Zdaje się, że najwyższy z tych pagórków, obecna *Monte Mario*, nie miała żadnej nazwy przed średniowieczem.

Ager Vaticanus rozciągał się znacznie poza swe dzisiejsze granice; nazwą tą oznaczano przede wszystkim równinę Prati aż do mostu Mulvio. Za czasów republiki i początków cesarstwa wszystkie te obszary były uprawiane. Wśród nich znajdowały się także *prata Quinctia*, orane niegdyś plugiem Cyncynata. Zda się, że plodów tych pól nie ceniono zbyt wysoko, zwłaszcza wina, które *Martialis* przyrównuje do octu.

Za czasów cesarstwa oprócz zamieszkałej części Zatybrza i twierdzy Janiculum wszystkie te wzniesienia były zajęte przez ogrody, winnice, a przede wszystkim przez wille cesarskie.

Z tymi willami wiąże się pierwsze wspomnienie Watykanu chrześcijańskiego. Agrypina starsza, żona Germanika, miała tu jedną ze swych posiadłości wznoszącą się amfiteatralnie między miejscami, gdzie miał powstać w przyszłości kościół św. Onufrego i bazylika św. Piotra. Syn jej Kaligula, po wstąpieniu na tron cesarski, wybudował tam cyrk. Bardziej na wschód rozciągały się ogrody Domicji, ciotki Nerona i nieprzyjaciółki jego matki (drugiej żony cesarza Klaudiusza), Agrypiny. Wkrótce po śmierci Agrypiny, do której przyczyniła się pośrednio Domicja, padła ona z kolei ofiarą już nie gniewu, lecz chciwości swego straszliwego siostrzeńca, który chciał jak najszybciej odziedziczyć jej dobrą. Kazał on swym lekarzom przyspieszyć śmierć ciotki (r. 59) i w ten sposób cały prawy brzeg Tybru od północnych zboczy obecnego Janikulum aż do dzisiejszego Pałacu Sprawiedliwości połączył się w jedną, ogromną posiadłość cesarską zwaną ogrodami Nerona.

W nich odgrywały się okropne sceny r. 64. I w bliskim są-

siedztwie cyrku znajduje się grób Apostoła Piotra czczony już od II w. przez chrześcijan rzymskich.

Cesarz Hadrian wybrał z kolei dawne ogrody Domicji na miejsce swego mauzoleum i połączył je z Rzymem mostem używanym do dzisiaj.

W okolicy był już wprawdzie drugi most, który Kaligula zaczął budować sto lat przedtem, aby móc przejść z lewego brzegu Tybru do swojej willi na Watykanie. Most ten ukończony przez Nerona przecinał rzekę w miejscu, gdzie zmienia ona swój bieg i zamiast płynąć dalej na zachód, skręca gwałtownie w stronę drogi *Claudia Cassia*.

Wykopaliska i wyniki prac odkrywczych, które pielgrzymi będą mogli zwiedzić w nadchodzącym Roku Św., zaczęte przypadkowo w styczniu 1941 r., były dalej prowadzone dzięki hojności i na życzenie obecnego papieża. Architekci z *Fabbrica di San Pietro* z pomocą archeologów Stolicy Świętej prowadzili prace w miarę, jak pozwalały im na to działania wojenne i trudności napotkane przy samych wykopaliskach. Prace ich uwiłdoczyły część fundamentów południowej ściany w środkowej nawie bazyliki wzniesionej przez Konstantyna. Stwierdzono, że miejsce to nie było zdatne pod budowę wielkiej świątyni; jedynie znajdujący się tam grób Księcia Apostołów i żołnierska decyzja Konstantyna, przypisywana mu przez historyków we wszystkich prawie chwilach jego życia, przyczyniły się do pokonania wszelkich przeszkód.

Cesarz zdecydowany uczcić Piotra i jego grób, każe wywła-

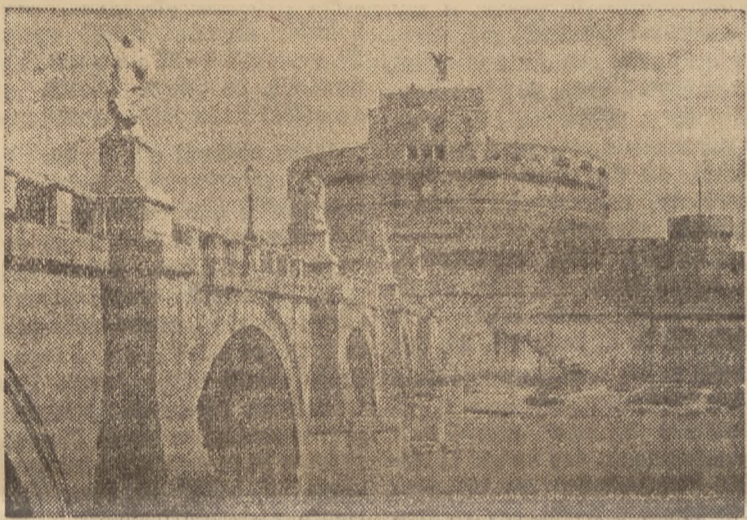
szczyć na całej potrzebnej przestrzeni okrąg cmentarny rozciągający się wzdłuż *via Cornelia*. Groby nie zostały zniszczone, lecz zasypane. W ten sposób osiągnięto podwójną korzyść: szybkość prac została wzmocniona dzięki temu, że użyto grobów na fundamenty, a jednocześnie część grobów została w ten sposób prawie w całości zachowana.

Święty Piotr został więc pochowany niedaleko od miejsca swego męczeństwa na wspólnym cmentarzu pogańsko-chrześcijańskim.

Według wzmianki przekazanej przez cenne dzieło biograficzne znane pod nazwą *Liber Pontificus*, papież Anaklet (76-88), drugi następca Apostoła,

wódców wojskowych i prefekta miasta wraz z zależnymi od niego urzędnikami. Wszyscy oni z początku byli mianowani przez cesarza, lecz pod wpływem zmian jakie zaszły we Włoszech na początku VIII-go wieku, żołnierze, urzędnicy i funkcjonariusze byli ludźmi pochodzenia rzymskiego, dążącymi do utworzenia własnego państwa i rządu.

Z punktu widzenia administracyjnego papież był w Rzymie potęgą o pierwszorzędym znaczeniu. Przyczynił się do tego jego autorytet religijny i zasoby finansowe. Świat ujrzał, do czego jest zdolny papież, gdy miastu groziło niebezpieczeństwo. Cesarz grecki wiedział o tym i choć czasem niechętnie, udawał się do papieża z prośbą



Most i zamek św. Anioła

zbudował na Jego grobie „memoria“ czyli celę, dookoła której następnie grzebano papieży aż do 197 r. Bazylika wzniesiona w IV-ym wieku przez Konstantyna stała się od razu przedmiotem celu pielgrzymek. Już Euzebiusz z Cezarei (260—338), biograf wielkiego cesarza, mówi o tłumach ją odwiedzających; św. Cyryl aleksandryjski (370-444) wspomina, że w końcu udał się tam Julian Apostata; św. Jan Chryzostom (344-407) pisze, że cesarze, wodzowie, konsulowie szli do Rzymu by uczcić grób św. Piotra i Pawła, prostego rybaka i rzemieślnika.

Z Apostołem Piotrem i jego chwalebnym grobem są ściśle związane wydarzenia, które doprowadziły do powstania państwa kościelnego.

Po najeździe Longobardów na Włochy, Rzym stał się stolicą jednego z okręgów wojskowych pozostających pod władzą cesarza bizantyjskiego. Okrąg ten odpowiadał w przybliżeniu obszarowi obecnej prowincji rzymskiej, czyli powierzchni państwa kościelnego między rokiem 1860-1870. Ustrój księstwa Rzymu został utworzony analogicznie do ustroju księstw Wenecji, Istrii, Ferrary, Pentapolis, Perugii i Neapolu; książę Rzymu miał pod swymi rozkazami do-

o rozwikłanie swych spraw we Włoszech. Wszystko to przyczyniło się do wzrostu wielkości państwa rzymskiego.

W połowie VIII w. okazało się, że cesarz bizantyjski absolutnie nie jest w stanie obronić skutecznie Rzymu przed Longobardami podczas, gdy Rzymianie nie chcieli im się poddać. Mimo głębokiego rozczarowania, wynikłego z bezczynności dworu greckiego, powaga cesarstwa została jeszcze nietknięta. Rzymianie chcieli pozostać poddani cesarza, a nie poddani króla longobardzkiego, zwłaszcza, że stosunki z cesarzem ze względu na odległość były dość luźne i nieuciążliwe. Lud rzymski nie mógł sobie wprost wyobrazić poniżenia się do roli wasala Longobardii. Pozostawała mu więc jedynie autonomia pod przewodnictwem papieża. Autonomia ta odpowiadała również polityce królów frankońskich, będących wówczas u szczytu potęgi.

Numer bieżący „DZIŚ i JUTRO“

jest numerem podwójnym (14 — 15) następny (16) ukaże się za dwa tygodnie z datą 23. IV. — b. r.



TEKA 11 ORYGINALNYCH DRZEWORYTÓW
KRYSZYNY WRÓBLEWSKIEJ p.t. „OJCZE NASZ“

SKŁAD GŁÓWNY: „VERITAS“ WIDOK 5 RÓG NOWEJ KRUCZEJ WARSZAWA
POJEDYŃCZE EGZEMPLARZE WYSYŁA PRZY WPLACIE ŻŁ. 1.200
NA KONTO P. K. O. 1-8515

SP. WYD. „PAX“ INSTYTUT WYDAWNICZY W-wa, Mokotowska 43

I MIASTO WATYKAŃSKIE

Gdy Stefan II włożył tiarę 6 marca 752 r., sytuacja Rzymu była ciężka. Astolf, król longobardów, zawiadnął Rawenną i wszystkimi posiadłościami cesarskimi między rzeką Po, Adria tykiem i Apeninami w miejscu, gdzie schodzą one się ku księstwu Rzymu. Astolf zgadza się na pokój, który wkrótce zrywa, następnie w jesieni tego samego roku domaga się podatku w złoście od wszystkich mieszkańców Rzymu i wyraźnie zamierza rozciągnąć swą władzę na Rzym i podległe mu okolice. Miało to znaczenie przymusowego i uciążliwego protektoratu. Władze miejscowe nie odgrywały żadnej roli. W tym czasie papież rozpoczął rokowania z królem Franków, Pepinem, i aby je przyspieszyć udał się do Galii

sta północne i obległ Pawię; następnie na wiosnę 774 r. przybył do Rzymu, aby tam święcić Wielkanoc.

W środę po Świętach (6 kwietnia) zebrało się uroczyste zgromadzenie w bazylice św. Piotra, a król frankoński kazał zredagować i złożyć najpierw na ołtarzu, a potem na grobowcu Apostoła akt potwierdzenia i rozszerzenia darowizny swego ojca. Akt ten został uświęcony uroczystą przysięgą.

W ten sposób wzięło swój początek na grobie Księcia Apostołów państwo kościelne darowane i przyznane jemu oraz jego następcom. W tym miejscu dobrze byłoby przypomnieć różnicę między Kościołem Katolickim, Stolicą Świętą i państwem watykańskim. Kościół Katolicki

władzy kapłańskiej, to jest moc spełniania świętych tajemnic gdzie, kiedy i jak chce bez żadnych ograniczeń ze strony prawa kościelnego. Ma najwyższą, pełną i powszechną moc prawną, to jest władzę ustawodawczą, sądowniczą i wykonawczą nad całym Kościołem Katolickim.

Pod nazwą Stolicy Świętej rozumie się Papieża rzymskiego, w szerszym znaczeniu miano to obejmuje także wszystkie departamenty i urzędy Kurii Rzymskiej, tj. Święte Kongregacje, Trybunały i inne, za pomocą których papież wykonuje władzę nad całym Kościołem powszechnym.

Od dwunastu wieków Najwyższy Kapłan ma także, jak już zostało wspomniane, władzę świecką nad państwem kościelnym, widomym środkiem i narzędziem jego niezawisłości.

Rozmiar obecnego artykułu nie pozwala na rozważanie całej historii państwa kościelnego, które powstawszy w połowie VIII w., nie podlegało znaczącym zmianom terytorialnym aż do r. 1870, gdy Rzym został zajęty przez rząd włoski.

Wynikła stąd kwestia, czy — wraz z okupacją Rzymu przez wojska włoskie — świecka władza papieża przestała istnieć? Problem ten rozstrzygnięto w myśl prawa kanonicznego i niektórych przedstawicieli prawa międzynarodowego w ten sposób: z chwilą gdy państwo włoskie okupując budowle i ogrody nie zajęło także pałaców watykańskich, papież może nadal wykonywać nad nimi swą władzę.

Zagadnienie to zostało następnie rozwiązane ostatecznie przez prawo międzynarodowe w myśl uznania władzy papieża przez traktat laterański, zawarty 11 lutego 1929 r. między Stolicą Świętą i Włochami, ratyfikowany 7 czerwca tego samego roku.

Traktatem laterańskim zostało ustanowione państwo Watykańskie w pełni podległe jurysdykcji papieża, mające na celu zagwarantowanie mu bezwzględnej niezawisłości w wy-

pehianiu jego posłannictwa na świecie.

Między licznymi klauzulami, które zostały zatwierdzone w artykułach wstępnych i w samym tekście traktatu (aż do art. 26 punktu 2) postanowiono wyraźnie, że „Włochy uznają państwo Watykańskie pod władzą najwyższego Kapłana”. Druga wojna światowa uszanowała w pewnym sensie to małe państwo, które wraz z całym Rzymem wyszedłszy nietknięte z działań wojennych, dzięki widomej opiece Boga i Jego Matki — okazało się pożytecznym narzędziem Stolicy Apostolskiej w licznych działach religijnych, miłosiernych i dobroczynnych.

Państwo kościelne ze swymi 44 hektarami obszaru, ze swą ludnością liczącą około tysiąca mieszkańców — złożoną z dostojników Stolicy Świętej oraz urzędników i pracowników rządu państwa razem z rodzinami — przygotowuje się do tej bliskiej już, nadzwyczajnej działalności na rzecz pokoju i dobra, związanej z Rokiem Świętym.

Wszyscy pielgrzymi (a przewiduje się ich kilka milionów), którzy zechcą skorzystać z odpustu jubileuszowego, muszą stanąć na ziemi tego małego państwa. Plac św. Piotra i jego bazylika, chociaż zwykle otwarte dla publiczności, zaliczają się do obszaru państwa kościelnego.

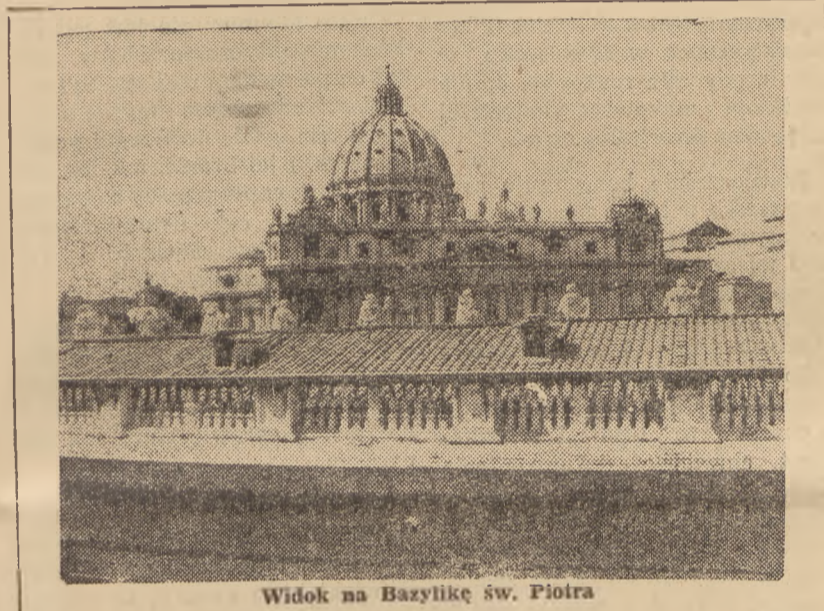
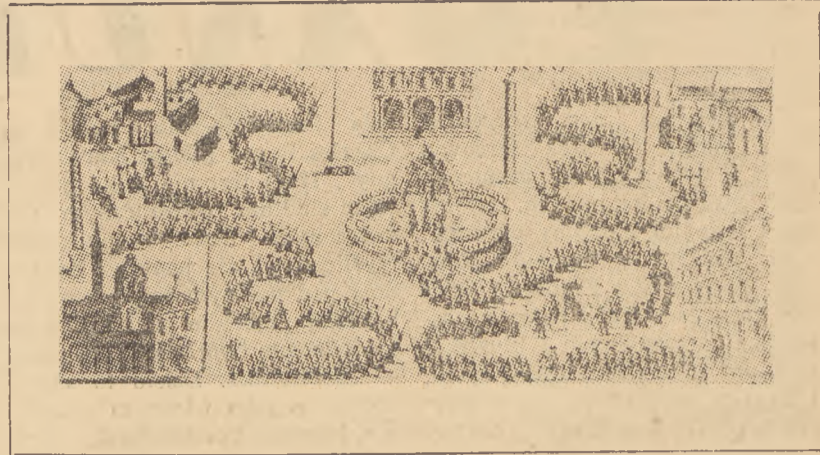
Wiadomo, że Ojciec św. stworzył w końcu zeszłego roku Centralny Komitet dla Roku Św., na którym spoczywa obowiązek kierowania i uzgadniania działalności Komisji i Komitetów Narodowych. Wszystkie te organizacje nie zamierzają w żaden sposób rywalizować z wielkimi towarzystwami turystycznymi lub agencjami podróży: mają

one być wskazówką i pomocą natury moralnej.

Celem współpracy w apostołskim dziele „wielkiego powrotu i wielkiego przebaczenia” radiostacja watykańska — dzięki hojnej ofierze złożonej, za przykładem braci narodu holenderskiego, wspólnemu Ojcu przez katolików całego świata — odnawia i ulepsza swoje instalacje.

Hojność Piusa XII sprawiła, że wszystkie biura techniczne zarządu miasta Watykańskiego rozwijają pełną działalność. Postępujące prace we wszystkich bazylikach patriarchalnych i w licznych budowlach, przeznaczonych na mieszkanie, na gościnie dla biedniejszych pielgrzymów, oraz na pomieszczenia dla wystaw: Miłosierdzia, Działalności katolickiej, Sztuki świętej, Sztuki krajów Misyjnych, Sztuki Kościoła obrządku wschodniego. Wystawy te zostaną umieszczone w wielkich budynkach, które powstają na miejscu dawnego placu Resucci. Można by odnieść do tych i do innych budowli (szczególnie do pałaców w trakcie budowy lub rekonstrukcji przy wielkiej via della Consolazione) dwuwiersz umieszczony na piętnastowiecznym budynku Dominika della Rovere na placu Scossacavalli, który stanowi obecnie siedzibę Penitencjariuszów Bazyliki watykańskiej i przygotowuje się na przyjęcie Rycerzy św. Grobu z Jerozolimy. Dwuwiersz ten brzmi: „*Stet domus haec donec fluctus formica marinos — Ebibat et totum testudo perambulet orbem.* (Ten dom będzie stał dopóki mrówka nie wypije morskich odmętów i dopóki żółw nie przewedruje całej ziemi).

C. P.



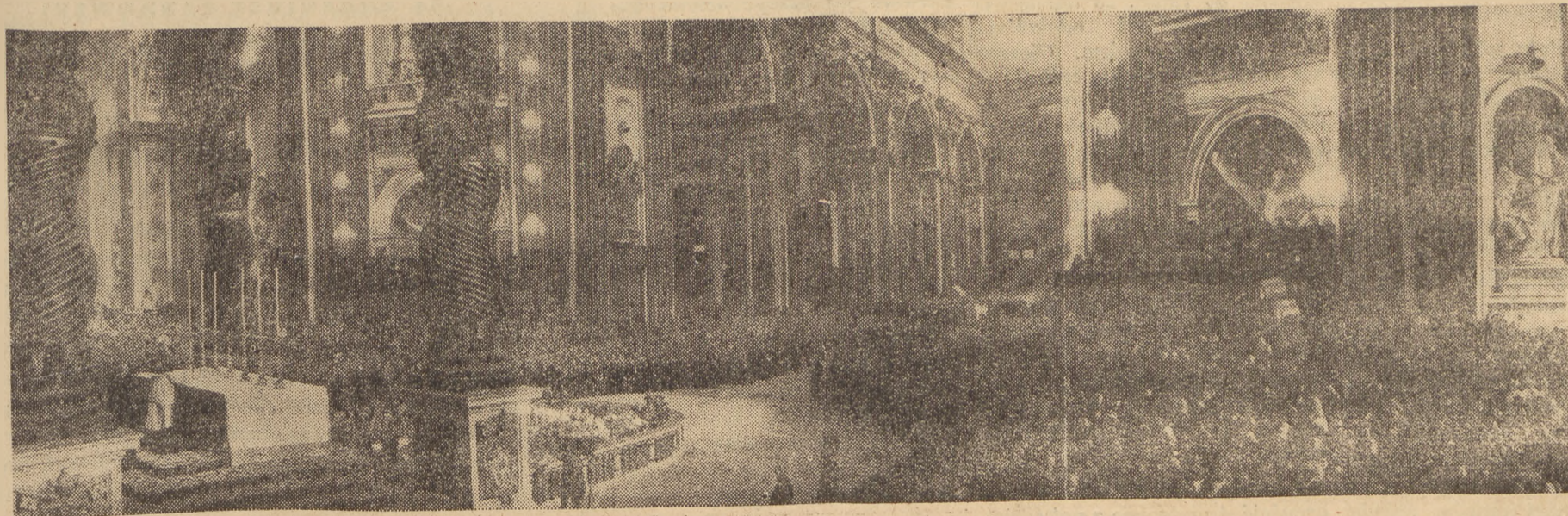
Widok na Bazylikę św. Piotra

(753), gdzie spotkał się z nim w Ponthion. Pepin wkroczył do Włoch, odebrał Astolfowi jego zdobycze i nie zwracając uwagi na żądania Konstantynopola, darował św. Piotrowi to, co było jego prawdziwą własnością jako zwycięzcy. W r. 756 opat Fulrado złożył w jego imieniu na grobie Apostoła akt darowizny na rzecz św. Piotra w osobie jego pełnomocnika i następców. Po okresie względnego pokoju Dezyderiusz, następca Astolfa, podjął walkę przeciw Karolowi Wielkiemu i papieżowi Adrianowi. Król Franków po wyczerpaniu wszelkich możliwych metod pokojowych przeszedł Alpy, zdobył Weronę oraz inne mia-

(czyli powszechny), społeczeństwo doskonale z ustanowienia Bożego, mające na celu zbawienie dusz, nie ma granic ziemskich. Ustrojem Kościoła jest monarchia elekcyjna. Najwyższą Głową, ośrodkiem jedności jest Najwyższy Kapłan, Zastępca Jezusa Chrystusa na ziemi, następca św. Piotra na stolicy apostolskiej.

Papieżowi przynależą także z racji historycznych i prawnych inne poszczególne godności kościelne, a wśród nich tytuł Patriarchy Zachodu, Prymasa Italii, Metropolity Prowincji rzymskiej.

Papież, najwyższy autorytet w dziedzinie wiary, ma pełnię



EMANUEL MOUNIER

W pierwszą noc wiosenną, zmarł nagle na atak sercowy, jeden z największych współczesnych pisarzy katolickich, założyciel i redaktor naczelny miesięcznika „Esprit” — Emanuel Mounier. Wraz z nim Francja i katolicy francuscy tracą jeden z najbardziej oryginalnych i blyszczących umysłów współczesnej epoki, jedną z najbardziej charakterystycznych i odważnych postaci współczesnego intelektualnego ruchu katolickiego.

Emanuel Mounier, zdobywający jako najzdolniejszy z ówczesnych kandydatów wydziału filozoficznego w roku 1928 stopień profesora filozofii, dojrzewał duchowo i intelektualnie w atmosferze początków tego wielkiego odrodzenia katolickiego we Francji, które go koryfeuszami byli: Claudel, Maritain, Gabriel Marcel, Fumet Bernanos czy Gheon, powołujący się jako na swych mistrzów i prekursorów na zapomniane, ignorowane dotąd przez środowiska katolickie postacie Leona Bloy, Karola Peguy, Ernesta Hello.

Przez całą młodość Mounier był świadkiem bezładu moralnego i niesprawiedliwości społecznej, pod szyjącymi się pod autorytet wartości religijnych i duchowych, widział jak zasłanianą maską hipokryzji najbardziej bliskie mu wskazania i naukę chrześcijaństwa. Toteż pierwsze dzieło Mounier, poświęcone było wydobyciu z zapomnienia jednego z najmocniejszych przeciw temu stanowi rzeczy protestów — twórczości Ka-

rola Peguy. — „La pensée de Charles Peguy („Myśl Karola Peguy”, 1931) jest nie tylko pierwszym studium filozoficznym poświęconym temu katolickiemu myślicielowi, ale jeszcze i do dzisiaj pod pewnym względem najbardziej głębokim i wnikliwym omówieniem twórczości tego poety — społecznika. Dzieło to zdecydowało o jego własnym powołaniu, Mounier porzuca karierę profesorską i wraz z ekipą młodych filozofów, socjologów, historyków zakłada w r. 1932 miesięcznik „Esprit”, którego ojcem chrzestnym niejako, były słynne „Cahiers de la quinzaine” Karola Peguy.

Oryginalność „redakcyjną”, jeśli można się tak wyrazić, tego pisma stanowił jego charakter awangardowy, jego ponadwyznaniowość, jego szeroki wachlarz współpracowników, reprezentujących wszelkie wyznania i ideologie i z całą swobodą w piśmie się wypowiadających. „Esprit” i jego ekipa nie znały lęku przed niczym i nikim; gdy tylko spostrzegły gdziekolwiek jakkolwiek hipokryzję, jakikolwiek faryzeizm, jakikolwiek przesąd, atakowały je z całą bezkompromisowością i sta nowczością. Pismo to było, jak się wyraził jeden z najwybitniejszych pisarzy francuskich, „Correfour de courages”.

Oryginalność zaś intelektualną „Esprit” stanowiła jego orientacja, której twórcą był założyciel pisma i która nosiła nazwę personalizmu. Mounier bowiem, który w epoce obcowania z dziełem Pe-

guy zawarł równocześnie znajomość z Maritain'em, poprzez tego ostatniego wszedł w głębszy kontakt z tomizmem. Pod bezpośrednim wpływem Maritain'a powstały trzy nowe dzieła: „Revolution personaliste et communautaire”, („Rewolucja personalistyczna i wspólnościowa”, 1934) znakomite „De la propriete capitaliste a la propriete humaine” („Od własności kapitalistycznej do własności ludzkiej”, 1935) i wreszcie fundamentalne dla personalizmu „Manifeste au service du personalisme”, (Manifest w służbie personalizmu”, 1936).

Głosił w nich Mounier, w opozycji do socjalnego indywidualizmu anarchistycznego epoki kapitalistycznej, prymat duchowy osoby, którego wyrazem socjalnym ma być harmonia oparta o wspólnotę społeczną. „Esprit” stało się organem tej orientacji.

Z wybuchem wojny Mounier przenosi się do „Zone libre” i tam kontynuuje wydawanie „Esprit”, aż do roku 1941, w którym rząd Vichy zawieszają publikację miesięcznika. W odpowiedzi Mounier organizuje aparat studiów konspiracyjnych, który zapewnia łączność pomiędzy czytelnikami i przyjaciółmi „Esprit”.

Aresztowany za tę działalność w styczniu 1942 r. spędza rok w różnych więzieniach, wypuszczony zostaje na wolność wraz z szeregiem innych więźniów na skutek strajku głodowego i natychmiast wraca no nowo do konspiracji. W pracy konspiracyjnej kie-

rował pomiędzy innymi „Seances de travail”, które zbierały się regularnie dla zrewidowania i odnowienia „Deklaracji praw człowieka i obywatela”, i w których brali udział najwybitniejsi filozofowie, historycy, prawnicy i teologowie.

Natychmiast po wyzwoleniu w 1944 roku wskrzesza „Esprit”, do kooptując w skład redakcji wielu młodych publicystów, których poznał w latach walki podziemnej. Spośród nich wysunął się na czoło zespołu Jan Maria Domenach, młody, bardzo utalentowany pisarz, który ostatnio współredagował „Esprit” wraz z Mounier. Mounier rozumiejący wszelkie nowe prądy i sytuacje historyczne bierze wraz ze swoim pismem aktywny udział w pracach nad poznawaniem tendencji współczesności, dążąc stale do zajmowania pozycji obiektywnych a atakując wstecznicwo i uprzedzenia. Wyrazem tego stanowiska jest podróż Emanuela Mounier do Polski, którą odbył wraz z grupą intelektualistów katolickich i komunistycznych w 1946 roku w chwili, gdy cała reakcyjna opinia publiczna atakowała najostrej krajów demokracji ludowych.

Równocześnie kontynuuje pracę pisarską w której omawia palące zagadnienia nowej epoki. Obrazem jej są publikacje odzwierciedlające wszystkie bez mała problemy współczesne, jak m. in.: „Qu est-ce que le personalisme?” („Co to jest personalizm”, 1947) „Traite du Caractere” („Traktat o charakterze” 1946) „L'affrontement chretien” („Konfrontacja chrześcijańska” 1944), „Liberte sous conditions (Wolność uwarunkowana, 1946) i całkiem świeża „La petite peur du XX-e siecle” (Mały strach XX wieku, 1948). Śmierć zabiera go w pełni sił twórczych w 45 zaledwie roku życia.

Pragnąc w krótkim zarysie dać pełną sylwetkę zmarłego pisarza musimy tu jednak poczynić parę uwag krytycznych. Emanuel Mounier zajmował w swojej twórczości przeważnie postawę obserwatora. Jakkolwiek uczciwie i obiektywnie próbował on krytykować otaczającą go rzeczywistość i analizowane prądy ideowe — ocena jego miała charakter w pierwszym rzędzie intelektualistyczny. W żadnym momencie swego życia nie poparł on więc żadnego konkretnego ruchu społecznego czy politycznego. W żadnym momencie nie zaangażował ani siebie ani swego zespołu do konkretnej wal-

ki. Wydawał oceny, z których naj pochlebniejsza nie obywatela się bez „ale” — usprawiedliwiającego jego wstrzeźliwość.

Personalizm, tak jak go pojmował Mounier — był więc drobiazgową miarą służącą do oceny współczesności, a nie wytyczną do działania. To spowodowało w sądach E. Mounier niebezpieczną dążność do obiektywizmu „sub specie aeternitatis” pozwalając na przykład na stawianie na jednej płaszczyźnie, w ocenie ruchów robotniczych, ruchów komunistycznych, trockistów, titowców czy socjal-demokratów. Taka próba oceny „in abstracto” wywołała ze strony rzeczywistych przedstawicieli mas robotniczych francuskich — najostrzejsze protesty i stawiała Mounier i „Esprit” w dwu znacznej pozycji popierającej dywersję i rozłam w ruchu robotniczym. Nagła śmierć Mounier przewała tragicznie gwałtowną polemikę i próbę „Esprit” wyjaśnienia swych intencji.

Dzieło Mounier nie jest jednak dziełem politycznym. Nigdy nie był on politykiem realistą. Był natomiast odważnym myślicielem, który tam, gdzie dostrzegał prawdę potrafił jej bronić, tak jak potrafił bezkompromisowo odsłaniać zakłamania, czy dwuznaczności środowisk mieszczańskich z których się wywodził.

Pozostawił on po sobie bogatą spuściznę pisarską. Pozostawił zespół młody, zdolny i pracowity, pozostawił „Esprit”, którego łamy nie jednej sprawie służyły z zaparciem.

Jeżeli E. Mounier posiada niewątpliwie wielkie zasługi na polu budowania odrodzenia myśli chrześcijańskiej we Francji, to jednak dziś przed osieroconym Jego zgonem zespołem — stają coraz trudniejsze zadania. Dziś bowiem już nie katolicyzm francuski, ale cała Francja stoi w obliczu wielkiego kryzysu. Idąc ewidentnie po wskazanej drodze — „Esprit” winien, zachowując w pełni cechującą go od wagę myślenia, stanąć po tej samej stronie, po której stoją francuskie masy pracujące. Wówczas dopiero wypełniać będzie swe zadania — łącznika między światem chrześcijańskim — a światem współczesnym.

Ciężki to egzamin dojrzałości ideowej zespołu w trudnej chwili bolesnej straty swego twórcy i przewodnika.

J. K.

Patryk

Anastazy czyli dzień dobry

— Dzień dobry, dzień dobry, pani Gut — mówi Anastazy, kiedy wczesnym rankiem wymyka się z domu. Ale pani Gut nie odpowiada nigdy, chociaż wiadomo, że o tej porze już nie śpi i możnaby sądzić, że Anastazy tym codziennym pozdrowieniem sprawdza tylko, że świat nie może się na niego zgodzić i że mechanizm obojętności funkcjonuje bez zarzutu.

Anastazy w opinii sąsiadów, to jest ludzi, którzy odznaczają się nadzwyczajną docieklivością i którzy wynaleźli osobliwą broń przeciwko rozczarowaniom: myśleć o wszystkich jak najgorzej; otóż w opinii sąsiadów Anastazy jest włóczęgą i nieponiem. Słowo nieponie jest choćby dźwiękowo nieprzystające do imienia Anastazy, ani nie harmonizuje z jego swymi włosami i pracowitym w istocie trybem życia.

Co do epitetu włóczęga — to mógł on powstać tylko w głowach tych, którzy wnioskują z pozorów. Anastazy chodzi istotnie dużo i raczej wolno, ale krok jego nie ma nic wspólnego z bezmyślną lekkością włóczęgi ani też z roztrzęsonym stapaniem żebraków.

Bowiem Anastazy, trzeba to w końcu powiedzieć, jest z zawodu uczciwym znalazcą. Dobrze powiedziałem, a zawsze wzruszenie ramion jest nie na miejscu. Zrozumcie pracę człowieka, który wczesnym rankiem, gdy śmieciarze jeszcze śpią, przemierza długie ulice miasta i ścieżki parków schyla

się nad każdym świsłkiem, ostukuje laską ścieki, albo przyzywa pieśczośliwie wystraszonego pinczera, wabiąc go kawałkiem kielbasy.

Któż nie zna owego przykre go uczucia, które towarzyszy zagubieniu czegoś. Jest to nie tylko żal za straconą wartością, tkwi w tym znacznie głębsze uczucie: zwątpienie w porządek świata przez nagłe wtargnięcie przypadkowości. Jest w tym także naturalne rozdrażnienie człowieka, który odkrywa, że przedmioty usunięte poza zasięg naszych oczu i rąk przestają dla nas istnieć.

Oczywiście, Anastazy nie zdaje sobie dokładnie sprawy z tego filozoficznego aspektu swojej profesji, jakkolwiek z czasem wyrobił sobie poczucie godności i wagi swoich zajęć. Martwi go tylko, że ludzie w chwilach radości odsłaniają swój twardy egoizm. Ciesząc się odzyskaną zgubą, znikają w głębi mieszkań i zostawiają Anastazego w przedpokojach lub proszą go na szklanek herbaty, bojąc się pieniądze urazić miłego staruszka. Sprawa w istocie jest bardzo subtelna i nie ma w niej niczego ze stosunku rzeźnika do amatora kielbasy. To też Anastazy nigdy nie dopomina się o wynagrodzenie, pije herbatę, co jest dodatkowym poświęceniem, bo nie wiem, czy wiecie, co wyrabia gorąca herbata w pustym żołądku.

Skoro już tyle zrobiliśmy, aby oczyścić Anastazego z potwarzy,

doprowadźmy tę sprawę do końca. Obrońmy go jeszcze przed dwoma zarzutami, które pani Gut streszcza w niewybrednych terminach: żarłok i chiromanta.

Nie ma co ukrywać, Anastazy lubi zawiązać z makiem. Nikomu to jednak nie przynosi szkody, a przyjemność zjedzenia ciastka przed zaśnięciem, może drażnić osoby wyzbyte zrozumienia uroku życia, do którego przyczyniają się nasze niewinne słabości. Tropienie zaś okruszynek maku wokół łóżka Anastazego określa panią Gut lepiej, niż najmocniejsze wyrażenie.

A teraz chiromanta. Dla sformułowania tego zarzutu wystarczyła niezrozumiała pasja Anastazego do kalendarzy. Anastazy zbiera kalendarze od lat, a poza tym kupuje w antykwariacie stare roczniki. Po prostu wrzusza go przepowiednia pomyslnych zniw na rok 1914 albo stwierdzenie, że Wielkanoc w r. 1881 wypadła 13 kwietnia.

Anastazy kładzie się spać późno. Jest zwykle zmęczony całodziennym bieganiem, ale szczęśliwy. Nikt bowiem nawet nie przeczuwa, jaki wewnętrzny spokój ma człowiek, który znalazł portmonetkę przywraca innemu człowiekowi harmonię świata.

Przed zaśnięciem Anastazy mówi półgłosem „dobranoc” — nie wiadomo, czy pani Gut, czy komuś innemu.

A czy teraz, czy teraz rozumiecie, że sen Anastazego jest snem sprawiedliwych...

Patryk.

Ks. EUGENIUSZ DĄBROWSKI

PROLEGOMENA

do

NOWEGO TESTAMENTU

O P O L E 1 9 4 9.

Autor w książce tej zamierza pomóc czytelnikowi Nowego Testamentu w rozwikłaniu trudności związanych z interpretacją tekstu biblijnego. Nie pomija też niczego, co by mu to zadanie ułatwiło. Ale czyni to w sposób osobliwy. Ewangelieści, św. Paweł, Apostołowie przesuwają się kolejno przed naszymi oczyma, każdy z napisany mi przez siebie księgami. Jest ich wiele (27), a przecież wszystkie one do jednego zmierzają celu... Autor usiłuje odnaleźć tę bogatą różnorodność jednej myśli, zogniskowanej w postaci Chrystusa i Jego dzieła Odkupienia.

SZUFLADA powoli pustoszała, a kosz na śmiecie zapelniał się po brzegi. Usiłowałem mechanicznie drzeć papiery, ordynarnie ciskać je do śmietniczki, ba, ugnia tać nawet butem, aby brutalnością tego gestu zagłuszyć, czy ośmieszyć w sobie narastający niepokój, jaki ogarnia chyba każdego w chwili gdy musi godzić się z uproszczoną interpretacją zjawisk niezwykle skomplikowanych, gdy musi poprzestać na wyciągnięciu z tej interpretacji najogólniejszej tylko konkluzji, pomijając wiele marginalnych, ale ważnych, czy choćby tylko ciekawych wniosków.

Próbowałem wytłumaczyć sobie, że to przesadna kurtuazja wobec błędów ludzkich, że to mimo-zowatość, pruderia, mazgajstwo; stopniowałem oskarżenia aż do za rzutu czystochowowskiej pozerii, ale jeszcze nie nabyłem widocznie dostatecznej wprawy w obłaskawianiu szczerości wobec samego siebie, bo niepokój tkwił gdzieś głęboko, przeciskał się różnymi szparami, gestniał i dławiał jak czad.

To tylko pozornie takie proste: nie nadają się do druku, rękopisów nie zamówionych nie zwraca my. Ale przecież każdy rękopis to chwila ludzkiego wzruszenia, to jakaś ludzka tęsknota, pragnienie, może nawet łzy czy uśmiech wiary, która przelamuje nieśmiałość, budzi nadzieję i każe pisać ponure wierszydła, okropne ramoty, krwawić „serce w rozterce, nad krwawą Warszawą”.

Zgniotłem rymowaną epistolę jakiegoś poety, który bez wzajemności zakochał się w poezji. Przez chwilę cieszyłem się w egoistycznej samoobronie, że dowcipnie określiłem tę zmiętą kulę papieru, nazywając ją w myśli kulą w płot, albo Panu Bogu w okno. Wy cofałem się jednak szybko na wygodniejszą pozycję samozwańczego obrońcy tak zwanego dobra ogółu. Wrzucając do kosza sponiewieraną, beznadziejną tęsknotę wieszczą skazanego na antypoetycką kość, tłumaczyłem sobie i jemu, że grafomania to klęska społeczna, że wymaga radykalnych metod przeciwdziałania, że dobro ogółu...

Niby miałem rację. Nawet miałem rację. Byłem wściekły na siebie, że miałem rację. Bo w koperce, oprócz kłamstwa poezji, była prawda przeżyć tamtego, szlachetnego w intencjach fałszerza, była nadzieja, może nawet lekki dygot serca, oczekującego na przychylną odpowiedź listowną. („Znaczek załączam...”) A tu po prostu: nie nadaje się do druku, rękopis niezamówiony, więc...

Woźny wyniósł czubaty kosz i wrócił z pustym. Koledzy już skończyli prace. Obarczony przez nich (albo jak się mówi w języku konwencjonalnej obłudy: zaszczycony) obowiązkiem kwalifikowania materiałów literackich nie powinienem ulegać chwilom słabości, nie powinienem po decydującej lekturze odkładać listów, aby odwlec przykry moment robienia „porządków”. Każdorazowy smutek spotkania z czyjąś ślepa tęsknota, czy zblakanych na manowcach beznadziejnie byłby może wtedy mniejszy. W każdym bądź razie łatwiej dałby się zapomnieć wśród rozgwaru innych spraw i rzadkich, ale radosnych listów ludzi, do których przychylnie uśmiechnęło się piękno. A tak...

Dwie niebieskie koperty podarłem z bolesną pedanterią. Wiedziałem, co w nich jest. Pamiętałem słowa nieudolne, śmieszne, tragiczne, jak émy. Cóż z tego, że émy kochają światło, jeśli są brzydkie, jakieś brudne i zblakane? Ich miłość może jest piękna, ale one są wstrętne. I brukają czystość światła. Wiedziałem, że tą metaforą nie wykpię się z trudnego proble-

Zygmunt Lichniak

PROBLEM

mu, ale musiałem zwodzić, kluczyć, aż czujność myśli przygasła i nagle wstąpiła we mnie łaska mądrej rezygnacji, bierna zgoda na uproszczenia, które są konieczne. W przyspieszonym tempie porządkowałem szufladę.

W kącie szuflady leżała duża koperta z szarego papieru. Pamiętam, że przyszła przed dwoma tygodniami. Było to — przepisane czysto na maszynie — kilkustronnie opowiadanie pod tytułem „Tajemnica Mariana”. Nad tym pretensjonalnym tytułem napisało czerwonym ołówkiem „nie do druku”. Napisał to sam autor opowiadania. Nie załączał znaczka na odpowiedź. Nie prosił o odpowiedź. Banalny podpis Ryszarda Kowalskiego był prawdopodobnie pseudonimem. Na odwrocie koperty nie znalazłem adresu. Przy pierwszej lekturze ta sztuczka wy dawała mi się chytrym wabikiem. Opowiadanie, czytane przy stuku maszyny i w rozgwarze redakcyjnych rozmów wyglądało na papierowe, przefilozofowane, po prostu słabe. Pamiętam, że odłożyłem je wtedy z zamiarem powtórnej lektury, bo coś mnie do tego skłoniło. Może była to jakaś myśl, czy ciekawość uboczna, może charakter pisma ołówkowego kogoś mi przypominał, może zaciekawiały mnie pewne sformułowania, a może po prostu nie zdążyłem opowiadania doczytać do końca, dość, że dzisiaj po południu musiałem — korzystając z ciszy opustoszałej redakcji — zabrać się znowu do „Tajemnicy Mariana”. Przeczytałem ją dwukrotnie.

Teraz, choć już późna noc, czytuję ją w domu po raz trzeci. W domu czyta się inaczej. W nocy czyta się pewniej, głębiej i dokładniej. Pod stołem u nóg rozciągnął się Cezar, seter angielski. Położył rasową mordę na miękkim wojułku moich pantofli i marszczy aksamitny nos, gdy poruszeniem nogi ploszę jego psie sny.

Wiem, że w pretensjonalnie zatytułowanym opowiadaniu jest jakaś głębsza prawda, do której niemal instyktownie lgną wieczorne, pogłębione ciszą myśli. Wiem, że ta prawda nie musi być zamierzonym osiągnięciem autora, że wynika raczej ze związku autora z opowiadaniem, z czegoś, czego jeszcze nazwać nie potrafię i określić dokładnie nie umiem. Sama historia Mariana Bolnara była tylko strzałką wskazującą kierunek, a w dali, gdzie już kończył się krąg zmyślonych wydarzeń, droga rysowała się wyraźnie i strzeliście.

Marian Bolnar pracował jako jeden z urzędników pocztowych. Był uosobieniem przeciętności i szarego dnia. Na ulicy — jak zapewnia autor opowiadania, — minęlibyśmy go jak tysiące innych przechodniów. A jednak człowiek ten nosił w sobie wielką, głęboką tajemnicę. Czasami zdradzał jej ogrom i niezwykłość jednym błyskiem oczu, jednym ruchem głowy, który ukazywał temu, kto umiał patrzeć i widzieć, że Bolnar to nie tylko kasjer przy trzecim okienku, ale także owo coś, nieujawnione przed najbliższymi nawet, nieznanie nikomu prócz niego samego. Ludzi intrygowała tylko zewnętrzna forma walki Bolnara z naturczywością ich pytań i siłą ich protestu przeciw wyłączności jego tajemnicy. Notowali w pamięci ci tylko zewnętrzne przejawy związków Bolnara ze sprawami,

których nigdy nie mieli poznać. Wiedzieli, że zniknął co jakiś okres czasu na dwa czy trzy dni, aby wrócić mocniejszym, bardziej zdecydowanym w obronie swojego prawa do siebie. Chytrzejszym znajomkom udało się wpaść na pewne tropy, zwęszyć sensację. Już wiedzieli, że Bolnar wyjeżdża na wieś, sprawdzili, że w tej wsi nie mieszka nikt z jego rodziny, ani bliższej, ani dalszej. Niektórzy prymitywowali swoje domysły znającym mrugnięciem oka i chicho tliwym „cherchez la femme”, inni wmawiali w Bolnara jakieś spekulacje majątkowe. Autor opowiadania zauważył, że gdy jego bohatera zaskakiwano jakimś pytaniem, dotyczącym okresowych wyjazdów, trzepotał w zdenerwowaniu powiekami, a potem — spostrzegając zastawione nieudolnie w rozmowie pułapki — uśmiechał się z zamaskowaną świetnie pod dobrotliwym uśmiechem pogardą.

Autor opowiadania był jednym z najbliższych przyjaciół Bolnara. I jemu jednak Bolnar nie pozwolił wejść w krąg wyłącznie swojej sprawy. To zaczarowane koło pekiło dopiero po długich latach wspólnych rozmów, przeżyć, zwyckich prób przyjaźni i porozumienia. Bolnar przysłał po prostu autorowi opowiadania plik listów, które rozświetlały tajemnicę. W listach ukryta była najgłębsza prawda człowieka, który niezwykle wysoko cenił prawo jej wyłącznego posiadania. Tajemnica Mariana była czymś jedynym i niepowtarzalnym, czymś co — we dług słów autora opowiadania — oślepia niemal jasnością i czarem ludzkiej szczerości.

Autor nie zdradza w swoim opowiadaniu tajemnicy przyjaciela. Opowiadanie kończy się szczerym wyznaniem: „Tajemnica Mariana” była tak głęboka i tak piękna, że nawet ci, którzy znali go od lat sami nigdy nie mogli by się domyśleć nawet jednej tysiącznej. Tajemnicy tej nie można powierzyć literaturze, bo literatura jest uproszczeniem prawdy o człowieku”.

Wiem, że prawda opowiadania tkwiła gdzieś głębiej, nie w tym końcowym wyjaśnieniu, chociaż urzekająco ono bezwzględna szczerością i odwagą. Wyczuwam jakiś głębszy, więcej wyjaśniający związek między opowiadaniem, a jego autorem. W czasie nocnej lektury uświadamiałem sobie coraz wyraźniej, że postać Bolnara jest mi znana skądinąd, że autor opisując Bolnara opisuje żywą, znaną mi kiedyś postać. Powiedzonka Bolnara, jego gesty, przyzwyczajenia, klimat psychiczny całej postaci wywoływał w pamięci kogoś z moich znajomych. Miałem wrażenie, że Bolnar jest czymś portretem, ale jednocześnie miałem niezbitą pewność, że w portrecie tym jest jakiś rys nierealny, który właśnie utrudnia mi identyfikację z oryginałem.

Dopiero gdy nazwisko Bolnara rozlałem na dwie sylaby uświa domiłem sobie nagle, że to oczywiście Bolesław Narkiewicz. Przypomniały mi się wszystkie rozmowy, wszystkie z nim spotkania i wszystkie listy od niego, a każde z tych wspomnień potwierdziło zgodność opisu z rzeczywistością. Jednocześnie uwyraźniał się ów błąd autora opowiadania, który zbagacił postać naszego znajomego czymś, co utrudniało mi początkowo rozpoznanie.

Dopiero po chwili obudziła się we mnie ciekawość, kim jest sam autor.

Krąg znajomych Bolesława Narkiewicza, bardzo zresztą wąski, i od wielu lat niezmienny, mógłbym opisać bardzo dokładnie. Znalazienie więc autora opowiadania kryjącego się pod pseudonimem Ryszarda Kowalskiego powinno być rzeczą łatwą. Na próżno jednak przebiegałem w myśli listę, nikt nie pasował do roli ambitnego dekonspiratora.

Wiedziałem jednak, że rozwiązaniem tej sprawy jest bardzo istotne, przeczuwałem w nim wyjaśnienie jakiegoś zasadniczego konfliktu, zasadniczego związku między światem literackiej ambicji i zwykłych ludzkich dni. Nagle przypomnienie poderwało mnie z miejsca. Gorączkowo szperałem w szufladzie pośród starych listów. Znalazłem wreszcie ten, o który mi chodziło. Porównałem charakter pisma listu z tym, którym na pierwszej stronie maszynopisu skreślone zostały słowa „nie do druku” i kilka poprawek w tekście. Zgadza się. Tu i tam to samo francuskie r niemal identyczne z v, ten sam pedantyczny sposób łą-

czenia liter. Autorem opowiadania był Bolesław Narkiewicz.

Nigdy bym nie przypuszczał, że ma on ambicje literackie. Pamiętam jednak, że kiedyś zachwycał się nowelką bodajże Guy de Maupassanta pt.: „Sfinks bez tajemnicy”. Twierdził, że wszyscy jesteśmy takimi sfinksami. Nie wiem czy wtedy miał rację. Myślę jednak, że pisząc „Tajemnicę Mariana” słusznie, choć nieszczerze, zaznaczał, że to rzecz „nie do druku”. Choćby bowiem wnioski końcowe są ciekawe i godne uwagi, wiele zdań w tekście, który należy potraktować jako tekst autobiograficzny, wymagałoby sprostowań.

Skoro o sprostowaniach mowa, to chciałbym wyjaśnić śmieszne nieporozumienie. Jakoś mi się napisało, że w domu mam psa, który wabi się Cezar i jest rasowym seterem angielskim. Owszem, mam psa, ale nazywa się Albin i reprezentuje nieokreśloną bliżej mieszaninę kundla z jakimś rodem psich pigmejów, bo mimo swoich ośmiu lat jest nie większy od dużego kalosza. Nie ma też, jak mi się napisało, rasowej mordy, lecz miłą mordkę nierasową. Ale aksamitny nosek, o którym pisałem, ma na pewno. Trąca mnie nim konfidencjonalnie, gdy głaszczę go, zawstydzony swoim dziwnym stosunkiem do setera angielskiego.

Zygmunt Lichniak

Marek Antani Wasilewski

Regaty

Zaparci stopami w podpory, ciągniemy ku sobie wiosła,
Przejęci twarzą ku słońcu, niczym w niedzielę na plaży.
Dłonie nasze stalowe do drzewca uchwytów przyrosły:
Płyniemy jak galernicy, przykuci zwycięstwa mirażem.

Łódź nasza, zda się, to owad, jakgdyby olbrzymi ośmionóg,
Który się ślizga jak nartnik po płaskiej tafli wody,
A my zginamy plecy i głową bijemy pokłony,
By lepiej wiosła zagłębić, aby zwyciężyć w zawodach.

Piersi i plecy naprzemian, piersi schylamy i plecy,
Drobne perelki wody siadają na naszych barkach,
A słońce twarz nam muska, jak złoty lok kobiecy —
Piersi i plecy, znów piersi — od startu wre walka uparta.

Aż wreszcie ostatnie metry i wszystko sprzed oczu znika,

Są tylko nasze ręce i ciężkie jak beton wiosła,
Lecz z rufy biegnie ku nam ożywczy głos sternika,
Wlewając siłę w mięsień, który na chwilę osłabł.

Podnoszenie ciężarów

Spójrzcie! Wzrok na dół spuścił i patrzy na ciężar,
Tylko ręce przeciągnął spragnione żelaza.
Już chwycił i już dźwiga, już mięśnie natężył,
Jakby można prawo ciężarzenia znieważać.

Doniósł ciężar do piersi, wpija w niego oczy,
Mocą swego wzroku chce go ciągnąć w górę.
Lekko zgiął kolana i nogi rozkroczył,
A mięśnie nabrzmiewają jak splecione sznury.

Lokcie w dół osunął, dłonie wznosił ku górze,
I pcha ciężar nad szyję, już do ust go doniósł.
Wytrzyma, czy upuści? Czy wydoła dłużej?
Pot zimnymi kroplami osiadł mu na skroni...

I nagle ramiona trysnęły ku górze,
A ciężar sam się uniosł nad głowę posłusznie.
On zaś stoi jak rzeźba wykuta w marmurze.
Herakles, któremu usta składają się w uśmiech.

Drogi Justusie.

Dlaczego ciebie tu nie ma? Tak bardzo mi jesteś potrzebny! Choć właściwie wiem, że nic by z tego nie przyszło, gdybyś tu był przy mnie. Decyzję, którą mam powziąć, muszę powziąć sam, wyłącznie sam. Tylko, że nie przychodzi mi to łatwo. Znasz to uczucie: za wszelką cenę chcielibyśmy, aby druga, droga nam osoba, mogła nas uspokoić, zapewnić, że właśnie tak — i jedynie tak — należy postąpić. Aż do bólu potrzebne jest nam takie zapewnienie z jej strony. Nic z tego! Wiem — choćbyś był tutaj, miałbyś na wszystkie moje wątpliwości jedną tylko odpowiedź: musisz sam wziąć na siebie całe ryzyko wyboru. Nic tu jeden drugiemu nie może pomóc... Nic! Nic!

Zdaje mi się, że widzę, jak kiwasz głową nad moim listem. Inaczej pisałem parę dni temu. Może to dlatego, że wtedy był jasny, słoneczny dzień, a teraz jest lodowato zimna noc, wyiskrzona przez księżyc. Wtedy było wszystko oczywiste. Krzychałem z tłumem i miałem w sercu tę oszałamiającą radość, jaka zwykła nadchodzi człowieka, gdy czuje to samo, co czują wszyscy naokół. Znasz to nie wątpliwie: radość pomnożoną przez braterstwo. Koło Bezetu nakłamałem się na Joela bar Gordiona. Nie lubię go. Ścieraliśmy się z nim nieraz w Kwadratowej sali. Ale to niebezpieczny człowiek: mściwy i zawzięty. Podniósł na mnie od ziemi wzrok (chodzi nisko zgarbiony, nie przestając pamiętać o tym, że dźwiga na swych barkach grzechy całego Izraela). Czy słyszysz, rabbi? — zakrzeczał. — Ciężko dziś tłum bluźni... Te krzyki, te pokłony... Był przybędę z Galilei obwołał Synem Dawida... O ciężkie są grzechy ludu! Ciężkie! Trzymałem w ręku gałąź palmową, a małe, mrugające oczka Joela zaraz spoczęły na niej. Widziałem nawet najczystszych — powiedziałem złościwie, — jak witali tego Oszustą... Twój współnik Józef... Lecz ja byłem wówczas tak pewny swego, że rzuciłem mu prosto w jego małą, pomarszczoną, podniesioną w górę spod skrzywionego ramienia twarz: Ja go także witałem. Bo On jest Mesjaszem, Chrystusem, prawdziwym Synem Dawida... Ooo — zajączał zgorznowy. — Wielki grzech popełniasz, rabbi, tak mówiąc. Jego twarz wyrażała ból. — Wielki grzech — powtarzał kilkakrotnie. — Ale i jego weźmę na barki... Zostawiłem go samego z brzemieniem, które wydaje mi się, że dźwiga. Poszedłem dalej radośnie w tłum, który pieniał się, powiewał gałęzmi, krzykliwie dzielił się wrażeniami z przejazdu Mistrza przez miasto. To było zaledwie pięć dni temu, dziewięćtego Nizana. Wtedy wydawało mi się, że słusność jest na pewno przy Jezusie — słusność ponieważ Go wszyscy uznali. Ale dziś... Dziś znowu nie wiem...

Przez dwa dni następne Jezus przy bywał codziennie do miasta, chodził po krążgankach i pod kolumnadą świątyni, siadał z uczniami na tarasach, nauczał, toczył spory. Widziałem jak przychodzili do niego ludzie, przysyłani przez faryzeuszów, saduceuszów, herodianów z podstępными pytaniami. On zaś odpowiadał im tak, że odchodzili zmieszani. Ale choć to słyszałem, nie byłem już taki radosny, jak w dniu, gdy uroczyście wjechał do miasta. Czuję, że to są tylko dysputy — a to tak mało znaczy zwyciężyć w walce słownej. Poza słowami Jezus nic nie przygotowywał. Nic nie polecił robić swoim uczniom, ci zaś, jak zawsze, chodzili za Nim tępą, głupawą, onieśmiałą, zwykłą zalilejczy amhaarezi, co z otwartymi gapiowato ustami stoją przed świątynią i dają się okpić byle lewicie. Zaś najrozsądniejszy spośród nich, ten kupczyk z Kariotu, mówił mi... Ale o tym za chwilę. Jak

ci powiedziałem, moja pewność rozpraszała się z godziny na godzinę. Wiedziałem, że gdy Jezus nie nie przygotowuje, arcykapłan, rodzina Annasza, cała góra faryzeuszów radzą gorączkowo. Conajmniej raz na dzień zbierają się w letnim pałacyku Kajfasza za murami miasta, na zboczach góry Złej Rady. Mnie ani Józefa nie zaprosili nigdy. Kiedy wczoraj zobaczyłem Joela wykrzywił się do mnie szyderczo. Ciągłe jesteś taki pewien rabbi, że ten twój Cieśla z Nazaretu jest prawdziwym (podkreślił mocno to słowo) Synem Dawida? Świdrował mnie oczami. Odpowiedziałem, że tak mi się wydaje. Zaśmiał się. Już nie mówisz, rabbi, z taką pewnością siebie, jak wtedy, gdy cię widział z gałęzią w ręku...

Jan Dobraczyński

List Dziewiętnasty

WOJCIECHOWI ZUKROWSKIEMU

Dlaczego? — broniłem się. Tak mi się coś wydaje — drwił, — I masz rację! — Oczy mu błysnęły radośnie. — To kłamstwo dłużej trwać nie może. Nie będzie już nam wskrzeszał ludzi i zyskiwał sobie, nędznym oszustwem, łaski motłochu. Mamy na Niego sposób... — Poczulem na ramionach dreszcz. Prózno usiłowałem się uspokoić zapewnieniem, że on tak tylko gada, aby mi dokuczyć. Czuję, że błędne, a jego drapieżne oczy widzą to i bawią się moją słabością. — Mam sposobiki... — zartał dłoń. Zaraz jednak urwał, zrobił minę nieszczęśliwą, zgarbił się jeszcze bardziej, powiedział z ciężkim westchnieniem: — O, ciężkie są grzechy naszego ludu. Wiele musi cierpieć, kto za nie pokutuje... Odszedł, powłócząc nogami.

Nawet gdyby nie ta rozmowa, wiedziałbym, że oni coś knują. A On nic nie robi, nic nie przygotowuje! Wczoraj rano nie pojawił się w mieście. Ogarnął mnie niepokój. Ledwo doczekawszy pierwszego zmierzchu, wziąłem osła i wyjechałem przez Bramę Gnojną do Betleem. Ale kiedy już nieco oddaliłem się od miasta skręciłem pod zbocza góry Oliwnej, by poprzez ogrody przebrać się ku Betanii. W ten sposób unika się szpiegów, których porozstawiano wszędzie po drogach.

Kiedy uderzyłem kołatką w drzwi wyszedł do mnie Łazarz. Ilekroć z nim teraz rozmawiam, czuję w sobie jakby dziwne onieśmienie. Śmierć tak oddala, wywyższa człowieka. A ja go widziałem zmarłym, z wpadniętymi policzkami, z fioletoowymi cieniami na powiekach. Człowiek boi się śmierci, ale także trochę zazdrości zmarłemu... Bo on już wie... Nigdy jednak nie ośmieliłem się zapytać Łazarza, jak t a m jest. Może zresztą pamięć szeolu zniknęła w nim w chwili powrotu do życia?

— Pan z tobą, rabbi — powitał mnie. — Witaj. Przychodzisz późno i jesteś pewno zmęczony. Wejdz. Mistrz nie śpi, jesteśmy wszyscy razem. Mówił dziś o tobie...

— Właśnie chciałem do niego, Łazarzu.

— Więc chodź. Przyniosę ci zaraz wody do obmycia...

Byli wszyscy na dole, w izbie. Od paleniska bił blask i w jego kręgu widać było gromadę skupionych ludzi. On siedział pośrodku, długi, ogromny, w Swej białej kuttonie, z dłońmi splecionymi na kolanie. Nie mówił nic — patrzył w ogień. Uderzyło mnie od razu, że Jego twarz była w tamtej chwili o wiele starsza, niż zazwyczaj. Mimo całej Swej powagi, to jest przecież młody Mężczyzna, poleń życia i zdrowia. Z naj-

cięższych, najdłuższych podróży wracał niezmęczony. Ale dziś w Jego rysach malowało się wyczerpanie, upadek energii, jakby jakiś nadmiar trosk. Oddychał ciężko przez lekko uchylone usta. Gładkie, wysokie czoło pokryły zmarszczki. Zrozumiałem — to, rozumiałem od razu ledwo wszedłem, choć na mój widok, po Jego twarzy przewinał się przelotny uśmiech, — że przychodzę po to, czego nie otrzymam. Ja chciałem od niego pomocy. Ale dziś to On wyglądał na człowieka, który czeka na pomoc od innych.

— Pokój tobie, Nikodemie — rzekł. Otworzył ramiona i przywołał mnie tym gestem do Siebie. Witał tak często Swoich uczniów, ale mnie nie okazywał dotychczas podobnej ser-

Listy Nikodema

deczności. Poczulem na barkach Jego gorące dłonie, jakby dłonie ślepeca szukające oparcia. Wiedziałem — wiedziałem coraz mocniej, — że na próżno przyjechałem. Ogarnęła mnie żalność, a nawet gniew. Więc gdy On, myślałem, doprowadził wreszcie Swoim postępowaniem do sytuacji beznadziejnej — ukazuje jednocześnie, że jest Człowiekiem niezdołnym do dźwignięcia Swej roli. Dotykając piersią Jego piersi, patrzyłem przez Jego ramię. Uczniowie i kobiety siedzieli z pochylonymi głowami. Wydało mi się, że podzielają upadek ducha Mistrza. Jedne tylko oczy paliły się żywo w mroku. Patrzyły na mnie porozumiewawczo. Myślmy często podobnie: ja i ten sprzedawca ryb oraz suszonych daktyli.

— Myślałem dziś o tobie, Nikodemie — puścił mnie, a ja wysunąłem się z Jego objąć — i bardzo, bardzo chciałem Cię zobaczyć...

— Czy chcesz coś ode mnie, Rabbi? — zapytałem.

Oczekiwałem, że potrząśnie łagodnie głową, jak potrząsał nią wiele razy, gdy pytaliśmy Go: czy chce jeść, pić, spać, odpoczywać. Ale On podniósł na mnie wzrok dziwnie ściemniały, podobny kolorem do chmury, która nadciąga znad morza — i rzekł cicho:

— Tak...

— Co chcesz ode mnie, Panie? — pytałem dalej. Jeśli Go nawet widziałem w upadku, nie mogłem pozbyć się pamięci o wszystkich tamtych chwilach, kiedy przyciągał mnie ku Sobie słowem i uśmiechem. Myślałem, że naprawdę dałbym Mu bardzo wiele ze swych bogactw, gdyby tylko tego zażądał. Nie jestem skapcem. — Powiedz tylko. Wiesz, że służę Ci będę wszystkim. Chcesz — kupię parę osłów albo jeszcze lepiej parę wielbłądów — i do jutra rana będziesz już daleko od miasta? Tutaj naprawdę grozi Ci niebezpieczeństwo... Wiem, że faryzeusze i kapłani coś knują. Wyjdziesz... Później wszystko się uspokoi, będziesz mógł znowu przyjechać...

Poczulem na dłoni dotknięcie Jego ręki.

— Nie tego chcę od ciebie, Nikodemie — rzekł cicho.

— Wtęć co Ci mogę dać, Mistrzu? — Daj Mi, Nikodemie, swoje troski.

— Moje troski?

— Tak, przyjacielu: daj Mi twoje troski... Potrzebuję ich. Czekalem na nie. Brakło Mi ich jeszcze...

— Nie rozumiem... — bąknąłem. Często Go nie rozumiem. Jak wtedy: cóż to znaczyło — urodzić się na nowo? Nigdy mi tego nie wyjaśnił.

Wiesz — to ciekawe — ale On rzadko wyjaśnia Swoje słowa. Kiedy Mu się mówi, że ich nie rozumiemy, patrzy tylko w oczy, uśmiecha się, jakby chciał powiedzieć: kiedyś zrozumiecie. Jego nauka nie przypomina nauki greckich mistrzów. Oni wyjaśniali świat od razu; nauczali jaki on jest. On chce, aby człowiek szedł od odkrycia do odkrycia, aby sam wyjaśniał sobie wszystkie tajemnice. On nie uzbraja przed życiem. Rzucił niezrozumiałe słowa, które nie wiadomo kiedy i jak odkryją swój sens. Czasami wydaje mi się, że zaprzecza sam sobie. Sam słyszałem jak mówił wiele razy: bądźcie jak dzieci, trzeba abyście byli jak dzieci... A jednocześnie — ta niezrozumiałość słów, jeśli nie kryje sobą ja-

Listy Nikodema

kiej pustki (przekreślał to! bo przecież tak nie jest, tak być nie może! nie przeżyłbym tego; nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie!) — otóż ta niezrozumiałość słów zdaje się znaczyć jedno: każdy z was musi dorosnąć... Lecz kto dorasta, nie jest już dzieckiem, kto jest dzieckiem, ten się godzi z tym, że nie rozumie świata.

I teraz nie wyjaśnił mi nic. Wskazał mi tylko niski stółek, abym na nim usiadł i patrzył na mnie. W Jego spojrzeniu była serdeczność, miłość, oddanie. Był jak ktoś, kto prosi pokornie. Jeszcze raz powtórzył:

— Daj Mi twoje troski...

Twarde drzewo trzaskało na palenisku. Marta podeszła do nas na palcach, by mnie zapytać, czy nie napiję się ciepłego mleka.

Byłem jak rozbitek, któremu zdawało się, że już już dopływa do lądu, a tymczasem, ten ląd okazał się złudzeniem. Daj Mi swoje troski — myślałem. To brzmi jak szyderstwo. Oczywiście oddałbym je zaraz. Nie skąpię ich. To po to przecież, by się ich pozbyć, przybyłem tutaj nocą, tłukąc się po wertepach i bezdrożach. Przywoziłem je ze sobą. Ale one tutaj jeszcze urosły. Znad glinianego garnka patrzyłem na Mistrza. Oczekiwałem, że coś powie. On jednak znowu utkwiał wzrok w ogień a na Jego twarz powrócił wyraz wewnętrznej rozterki i cierpienia. To tylko człowiek! — przebiegło mi przez głowę. Od dwóch lat ta myśl wraca do mnie bez ustanku. A jeszcze parę dni temu marzyło mi się nie wiadomo co...

Była późna noc, gdy powiedziałem, że trzeba mi wracać. Łazarz poszedł, by wyprowadzić mego osła ze stajni. Poszedłem do Jezusa. „Pan z Tobą, Mistrzu“ — powiedziałem. Podniósł głowę, oparł na rękę. W Jego oczach dostrzegłem dwie duże łzy. Usta Mu także drżały lekko.

— Już odchodzisz? — zapytał.

— Już idę, Rabbi. Noc późna. Koguty zaczną pisać niedługo.

— Tak — szepnął jakby do Siebie, — noc późna... i koguty... — Westchnął. — I chciałbym, aby minęła szybko, i chciałbym, by się ciągnęła bez końca... Ta cudowna noc... — Zostało mi to w pamięci, że powiedział „cudowna“. — Pamiętaj — powiedział raz jeszcze, — że czekam na twoje troski. Pan z tobą, dziecko... Ten młody Mężczyzna mówi nieraz jak starzec, jak ojciec rodu. Wyciągnął rękę i przesunął otwartą dłoń po mojej twarzy. Tak często kobiety żegnają swoich ukochanych, chcąc by im została na palcach pamięć drogich rysów.

Przed domem stał Łazarz z osłem i drugi jakiś człowiek. Po'niebie przewały się ciężkie obłoki, raz po raz powstrzymując ulewę księżycowego blasku. W tej chwili jednak księżyc wymotał się z chmur i wyleciał w górę świetlistym kręgiem. Cienie stojących leżały twardo na drodze, iskrzącej się niby płynącą rzeką. Poznałem, że tym drugim jest uczeń z Kariotu.

— Czy pozwoliś, rabbi — zapytał, — że pójde przy tobie do miasta? Muszę tam być przed świtem, załatwić zakupy...

— Chodź — odrzekłem. Byłem nawet zadowolony, że obecność tamtego uwolni mnie od szamotania się z własnymi myślami. Wsiadłem na osła, uściśnalem na pożegnanie dłoń Łazarza i ruszyłem ścieżką, która doprowadziła do domu rodzeństwa. Judasz szedł obok. Weszliśmy pod cień drzew, po liściach których spływał blask i kapał wielkimi kroplami na kamienną ścieżkę. Psy czekały w ciemnościach tu i tam. Ale kiedy wydobyliśmy się z kręgu zabudowań, otoczyła nas cisza, przerywana tylko chrzęstem liści oliwnych, w które uderzał wiatr.

— Wydaje mi się, że Mistrz utracił Swój spokój... — rzekłem w pewnej chwili. Dotychczas nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa.

— Tak! — potwierdził uczeń, — Zauważyłem żywy ton jego głosu, tak żywy, że to krótkie „tak“ zabrzmiało, jakby było czymś więcej niż potwierdzeniem. Po krótkim milczeniu zaczął mówić, przedk, wpadając raz po raz w zadyszkę: — Jego wszystko odeszło... Nie tylko spokój... On... — chwilę zawałał się, czy ma to powiedzieć — On się już skończył... Zmarnował Swój czas... Mógł podnieść, poderwać ludzi, obalić wszystko co stoi na drodze, zwyciężyć... — W zapale położył rękę na szyi osła. — Mógł to wszystko! Mógł zwołać tłum do walki z Rzymianami. Co tam Rzymianie! Mógł rozpędzić tych bogaczy, co obsiedli świątynię, tych uczonych skrybów, tych złodziei, tych nierobów, tych lichwiarzy, tych obżartuchów naphanych po psych denarami, tych krzywdzicieli...

— Może zapomniał, że mówi do mnie. Były w jego słowach zawziętość, gniew, nienawiść — całe piekło nienawiści, które musiał z siebie wyrzucić. — Mógł skończyć z niewolą. Mógł wyzwolić. Mógł... Mógł... — głos człowieka załamał się jakby w szluchu. — Tego nie zrobiłbyś, ani ty, rabbi, ani ja, ani ci wszyscy, głupi amhaarezi — rzucił głową za siebie. — On tylko mógł to wszystko zrobić! Ale nie zrobił. A wiesz, rabbi, dlaczego? — Oparł się całym ciałem na osła, aż zdziwione tym ciężarem zwierzę stanęło. — On się zląkł! Zląkł się! Zwyczajnie — przestraszył się...

Księżyc świecił prosto w twarz ucznia; jego blask zmył z twarzy człowieka opaleniznę; wydawała się biała, błada, bardziej jeszcze biała niż zwykle — twarz mieszczaucha miedzy spalonymi na brąz twarzami wieśniaków z Betsaidy. Odsunąłem go lekko.

— Idźmy dalej — powiedziałem. Odstąpił od osła. Ruszyliśmy znowu. Uczeń z Kariotu szedł milcząc, jakby w wybuchu przed chwilą wyczerpał wszystkie swoje siły. Ścieżka prowadziła w głąb czarnego parowu. Osioł zwolnił kroku i ostrożnie stawił nogę za nogą. Słyszałem klekot jego kopyt na płaskich kamieniach. Nad nami była skalna krawędź, ciemna lecz jakby parująca ucinającym się na niej blaskiem. Chłód rozpadliny czy może wewnętrzna rozterka kazały mi drzeć. Zląkł się? — myślałem. — Daj Mi swoje troski... Nie pojmovalam żadnego z tych zdań. Czulem jednak, że zawiera się w nich

tajemnica straszliwa, bolesna, lecz jak wszystkie tajemnice Mistrza z Nazaretu kryjąca na swym dnie — oszalałymi spokojem. Tylko, że — by dotrzeć do tego spokoju... I jak dotrzeć? On kiedyś powiedział, że wszystko, czego naucza, jest łatwe, lekkie, słodkie... Ale to jest trudne, ciężkie i gorzkie. Może omylił się? Może głosi ludziom naukę bogów? Gdyby ona była taka prosta. On nie lękałby się teraz... Ale dlaczego chce jeszcze moich trosk? Czy ktoś, kto się boi, chce jeszcze lęku drugiego?

Rano poszedłem do warsztatu. Siedząc na jakiejś belce, słuchałem stukania młotków. Robotnicy, kujać, podśpiewywali. Ci prostacy cieszą się z nadchodzących świąt. Potem powrócił jeden z moich ludzi, który chodził po wodę do Siloe i przyprowadził ze sobą Piotra i Jana. Szukali mnie po całym mieście, by mi powiedzieć, że Mistrz prosi, abym Mu oddał na dzisiejszy wieczór malum w moim domu gościnnym, chce bowiem zjeść z uczniami galilejską paschę. Dałem im list do Helega, zarządzającego domem. Pomysł Mistrza nie wydawał mi się jednak rozsądnym. Po co przychodzi na wieczór do miasta, w którym czyha na Niego niebezpieczeństwo? I jeszcze chce ucztować o dwa kroki od domu arcykapłana! Powiedziałem Piotrowi: Nie róbcie tylko głupstw! Żadnego uroczystego wjeżdżania! Przyjdźcie cicho, grupkami, zagubieni w tłumie... Byłoby najrozsądniej, aby nikt nie wiedział, że zostajecie na noc. Ale Piotr jest niemożliwy. Jego naiwne zaufanie we wszechmoc Mistrza aż złości. Podparł się pod bok i powiedział (a ma głos jak trąba i gdy zaczyna wykrzykiwać wszyscy naokół zwracają na niego uwagę). Mistrz nie potrzebuje się nikogo lękać. Ho, ho — niech no by Go kto spróbował napaść! Zwłaszcza teraz... Znacząco uderzył dłonią w pakunek, jaki miał pod pachą. Co tam masz? — zapytałem. Rozwinął tobolek i triumfalnie pokazał mi dwa krótkie, szerokie miecze, jakie sprzedają kupcy żelazni na Kuźnicach. Kupiliśmy to dzisiaj... — pochwałił się.

Noc już była i spałem w najlepsze, kiedy nagle obudziła mnie służba, mówiąc, że ktoś przyszedł i chce się ze mną natychmiast zobaczyć. Zerwałem się od razu, nie żałując przerwane snu. Coś wisiało w powietrzu, — czułem to dobrze — nadchodziło i było już obok mnie. Od paru dni żyłem w ciągłym oczekiwaniu. Okręciłem się płaszczem i wyszedłem do gościa. To był Jakub, brat Jana. Obaj synowie Sałoma choć bardzo różnią się wiekiem, są przecież do siebie podobni: delikatni i nieśmiały, ukrywają swój zapał i często nie potrafią go okazać. Mistrz nazwał ich kiedyś Synami Gromu — lecz On umie ludzi przejrzeć na wylot i wie o najbardziej skrytych uczuciach. Oh — kiedy widzę, jak bez wysiłku, jakby czytał z rozwiniętego rulonu, odkrywa w człowieku jego słabości, wtedy znowu ogarnia mnie przekonanie, że On nie może być kimś zwyczajnym... Milczący i poważny Jakub bywa zawsze ubrany czysto, ma włosy przygładzone, z jego postaci tchnie schludność i staranność. Ale teraz zobaczyłem przed sobą człowieka w pogniecionej simlah, z mokrymi i potarganymi włosami, które spadały na czoło i na oczy. Stopy miał obłożone, pobijane przez kamienie; wzrok błędny. Stał cały dygocząc. Nie powiedział od razu z czym przyszedł; pasował się jakiś czas jakby mu słowa nie mogły przejść przez gardło. W końcu wykrztusił:

— Wzięli Go...!

Przecież oczekiwałem tego — a mimo to siadłem na stołku, jakby piorunem rażony. Nogi poczęły mi

drzeć, w głowie zrobiła się pustka, przed oczami przelatywały czarne platy. Było mi słabo, zdawało mi się, że zemdleję. Więc jednak... — dzwoniło mi w mózgu, — więc jednak... Wszystkie moje myśli, wszystkie rozmowy z ostatnich dwóch lat zestrzeły się we mnie w tej chwili w te dwa słowa.

— Więc jednak... — powtórzyłem głośno, — więc nie mógł uciec, ocalić się, ukryć... Schwytali Go!

Siedziałem, jak mi się zdaje długo z głową zwieszoną, wstrząsany dreszczami, czując w gardle słabość i nudności. Gdy podniosłem głowę człowiek stał wciąż przede mną, jak rozdarła piorunem drzewo. Patrząc na niego pojąłem wszystko (czy to już jednak wszystko?...). Pojąłem, że nie jest najstraszniejszą sprawą pochwylenia Mistrza... W oczach rybaka były nie tylko ból i przerażenie. Tam była także rozpacz. Na czole, tuż pod korzonkami włosów, poczułem krople zimnego potu, niby dotknięcie żabich nówek. Zęby mi dzwoniły i ten spazmatycznie powtarzający się dźwięk w pustym, uśpionym domu, rozlegał się jakby tupanie biegających przedko stóp. Z trudem wyszeptalem:

— Jak... Jak to... było?

— Jak było... — powtórzył wolno, jakby nie rozumiał tego pytania, jakby sam musiał sobie wytłumaczyć wszystko co się stało. Niepewnie, zająkując się, podjął: — Jedliśmy paschę w twoim domu, rabbi. Zwyczajnie... On... On... tylko był smutny. Od paru dni jest smutny... Mówił... Nie wiem, nie rozumiałem wszystkiego... Powiadał... Ze niedługo odejdzie i znowu niedługo powróci, bo nie chce abyśmy zostali jak sieroty... Może Go wypuszczą? Jak myślisz, rabbi? — Z powątpiewaniem potrząsnąłem głową. Słyszałem jak mocno, boleśnie polknął ślinę. — Mówiliśmy, że pójdziemy z Nim, gdzie trzeba i że nie boimy się nawet śmierci. Uśmiechnął się żałośnie... I mówił żebyśmy się kochali, jak nikt się nie kocha... Mamy pamiętać, że On jest zawsze przy nas i dla Jego miłości mamy wypełniać naszą powinność... Długo, długo mówił, nie powtórzę wszystkiego... A przedtem umył nam nogi. Piotr nie chciał, ale On rzekł, że tak trzeba. Więc się zgodził i my wszyscy. A chociaż pascha była już skończona wziął Chleb i począł nam dawać. Każdemu. Potem Wino. Także każdemu. I mówił znowu tak jak wtedy, gdy ludzie odeszli oburzeni... Powiedział: że to jest Jego Ciało i Jego Krew — i to mamy jeść i pić... Ale to i dalej był tylko Chleb i Wino... Nie wiedzieliśmy co myśleć? Potem zaraz Judasz wyszedł. Mistrz coś mu powiedział i jeszcze napomniął: rób szybciej. Więc mówił, żebyśmy się kochali... I że kto Jego widzi, tak powiedział, widzi i Ojca... Bo Filip zapytał, jaki jest Ojciec, i że chcieli byśmy, aby Go nam pokazał... Długo mówił... Miesza mi się wszystko teraz... A Jan i ja powiedzieliśmy, że będziemy pierwsi w Królestwie. Wtedy Mistrz się oburzył, zaś Jakub, syn Alfeusza i brat jego Juda wołali, że oni będą pierwsi, bo są braćmi Pana... Ale Mistrz rzekł, że na świecie to królowie są pierwsi, ale w Jego Królestwie ten, kto jest pierwszy, musi być jak najniższy sługa... jak sługa sług... A wreszcie zapytał: czy nam czego brakło, gdyśmy z Nim chodzili po Galilei, Perei, Samarii i Judei. Powiedzieliśmy, że niczego. Bo zawsze było co zjeść i wypić, choć Pan zakazywał się troszczyć o dzień następny. Ale teraz, powiedział, już tak nie będzie. Teraz, mówił, musicie myśleć o torbie na sykle i na zapasy, a kto torby nie ma, niech sprzeda simlah a kupi sobie miecz. Wtedy Piotr krzyknął, że już miecze są kupione i położył przed Nim dwa. Ogarnął nas zapał, zaczęliśmy wołać, że będziemy się bić i nie damy Go

skrzywdzić, a najgłośniejsi krzyknęli Piotr i Tomasz. On jednak nawet nie spojrział na miecze. Siedział chwilę z głową wspartą na rękach, z twarzą ukrytą w dłoniach. Potem wstał i rzekł: Dosyć. Chodźmy stąd. Noc już późna, księżyc wyszedł nad wieże świątyni. W pałacu arcykapłana palily się światła i słychać było głosy. Jan zdziwił się, że nikt tam nie śpi, mimo późnej pory. Ruszyliśmy cicho w stronę Ofelu. Nagle jakaś postać stanęła przed nami. To była Maryja. Siedziała poprzednio pod krzywą figą, i czekała widać aż wyjdziemy. Teraz przedko szła na przeciw Mistrza. Zwolniliśmy nieco, zatrzymaliśmy się. Tych Dwoje stało obok Siebie pod centkami księżycowego blasku, przesianego przez bezlistne gałęzie drzewa. „Synu — dosłyszałem jak mówiła Kobieta, — błagam Cię, nie chodź... proszę Cię...” Jeszcze coś mówiła, ale Jej szept stał się niewyraźny. Potem On mówił: także cicho, tylko dla Niej. Nagle wykrzyknęła boleśnie, cofnęła się, zastyła twarzą. Podszedł do Niej i pochylił się nad Nią. Delikatnie, nie jak syn matkę, ale jak mąż żonę pogladził po policzku. To trwało chwilę. Potem miękko lecz stanowczo odsunął Ją na bok. Jeszcze jakby Mu się pieręła, jeszcze Jej ręce czepiały się Jego płaszcza. Spieszny oddech Kobiety dyszał łzami. Lecz On już poszedł ku Bramie Źródlanej. Nie obejrzał się. Zawołała za Nim przedko: będę czuwała...! Żaden z nas nie wiedział, co to miało oznaczać. Minęliśmy Ją — stojącą nieruchomo pod figą z wyściętymi rękami. Zstępowaliśmy w dół, w mrok, ku sadzawce. Ofel leżał z lewa niby las krzewów — ciemną gęstwą domów, nad nim, spoza portyku jarzyła się świątynia. Nigdy nie wydała mi się jeszcze tak wspaniałą i tak wielką! Dwa dni temu On powiedział, że nie zostanie z niej kamień na kamieniu... Czy to możliwe? Powiedz sam, rabbi? Bo mnie się zdaje, że tak nie będzie. Jemu tylko się zdawało, że zwycięży ludzi świątyni. Ale to oni Go zwyciężyli! Któż by zdołał rozwalić takie mury na takiej skale? I czy to nie byłoby świętokradztwo? Z prawa gdzie mur załamuje się przy wieży nad Bramą Gnojną — cały ten kąt zapchany jest namiotami przybyszów, którzy przybyli na święta. Minęliśmy bramę, schodziliśmy dalej w dół. Cedron wezbrał, huczy tam w dole niby morze w czas burzy. Ledwo wyszliśmy z miasta On znowu zaczął mówić. Zatrzymał się przy krzewie winnym wziął go w rękę, powiedział: wy jesteście jak ten krzew; Ja — to pień, wy to gałęzie... Znowu powtarzał, abyśmy się kochali... Kochajcie się, — mówił, — kochajcie zawsze, kochajcie zwłaszcza w godzinie najtrudniejszej... Nie rozumieliśmy Go, trącałiśmy się łokciami... On to widział. Zrozumieliście wszystko, rzekł, skoro wam przyślę Pocieszyciela... On wam wszystko powie... Trzeba abym odszedł, bo inaczej Pocieszyciel nie przyjdzie... Odejdę do Ojca... Wtedy mnie i Janowi wydało się, żeśmy Go zrozumieli. On był kiedyś z nami i z Piotrem na górze... Nie mówiliśmy o tym nikomu, bo On kazał milczeć. Tam... Nie wiem naprawdę, czy ci mogę o tym powiedzieć, rabbi...? Ale myśmy pomyśleli, że On idzie do Swego Ojca tak właśnie, jak wtedy na tę górę. I stanie się znowu cud, tylko, że teraz zobaczą go wszyscy... Cały świat! Więc powiedzieliśmy Mu, że teraz wierzymy już we wszystko, co On mówił. Ale On zamiast się ucieszyć, spojrzął na nas smutno, jak wtedy, gdyśmy się przekrzykiwali, że umrzemy dla Niego. Teraz już wierzyć... — powiedział. Przygryzł wargi. Przyszedł czas, że uciekanie i zostawicie Mnie samego. Ale Ja nie jestem Sam... Potem stanął i modlił się, rozłożywszy ręce. Księ-

życ wstępował coraz wyżej i lał blask, niby wodę z konwi, w głąb wąwozu. Byliśmy zmęczeni — w ciągu ostatnich dni sypialiśmy mały. W głowach mieliśmy szum otęty usłyszanych stów. Noga za nogą ciągnęliśmy przez most. On postanowił, że przenocujemy w ogrodzie Oliwnej Tłoczni. Ledwo stanęliśmy pod drzewami w miękkim mroku, poczęliśmy zdejmować z siebie płaszcze i układać się na ziemi. Mistrz nie usiadł. Stał w ciemnościach jak biała, pogańska rzeźba. Spójrzcie tu, powiedział. Ja będę tam dalej... Znamy Jego przyzwyczajenie i Jego siły, że potrafi czuć i modlić się, gdy my jesteśmy wyczerpani. Odchodząc zawołał na mnie, na Jana i na Piotra: Chodźcie ze Mną. Podeszliśmy pod sterzącą skalę. Zatrzymał się, rzekł: czuwajcie i módlcie się. Ja także będę się modlił. Smutno Mi jak człowiekowi, który umiera... Powiedziało to takim głosem, że wszyscy trzej podnieśliśmy na Niego oczy. Jeszcze nigdy tak do nas nie mówił. Od paru dni był smutny, ale ten smutek nie przeszkadzał Mu mówić do nas i nauczać. Jeszcze przed chwilą przemawiał tak spokojnie. Teraz jednak ten spokój pękł, jak pęka bańka na powierzchni wody. Wydał mi się człowiekiem wystraszonego, ogarniętego rozpaczą. Módlcie się, czuwajcie — powtarzał kilka razy. Duch pełen jest zapału, ale ciało — takie nędzne! Wolno, jakby nogi ugięły się pod Nim, oddalił się, nie daleko, tyle, jakbyś cisnął kamieniem. Tam świecił blask, więc widzieliśmy Go jak padł na kolana, twarzą do ziemi. Piotr powiedział: módlmy się, skoro Mistrz tak chce. Nie klękaliśmy, bo byliśmy bardzo zmęczeni. Poczęliśmy powtarzać słowa Hallelu. Ale Jan zasnął... Taki chłopak jak on nie umie czuć, nieraz nam zasypiał na łódce... Mnie także po wieki ciążyły i modlitwa zastęgała na każdym słowie... Ani się spostrzegłem kiedy uświadomiłem so-

bie, że Piotr chrapie. To było jak obudzenie się: nie wiedziałem, czy czuwałem cały czas, czy też spałem. Przyszło mi do głowy, że pewno nie trzeba już czuwać... Oparłem głowę o pień. Zasnąłem od razu, jakbym spadł w wodę. Obudził mnie głos Pana. Poderwałem się gwałtownie wystraszony. Stał nad nami i mówił głosem jęczącym, podobnym do głosu żebraka spod Bramy Efraima. Dlaczego śpisz? Nie mogliście czuć przez tę godzinę? Pod gałęzmi było ciemno, choć blask księżycy wzmógł się i leżał po wierzchu drzew niby szron. Głos Jego dochodził z mroku niby zawodzenie w głuchą noc. Na krótką chwilę stanął na księżycowej plamie i wtedy zobaczyłem Jego twarz. Na czoło Mojżesza, wyglądała strasznie! Widziałeś może, rabbi, twarze kamienowanych? Ona była zupełnie taka sama: biała wykrzywiona bólem, napięta jak ścięwa... Nie! — zle mówię, nie jak twarze kamienowanych. Jak twarz uduszonego, który dusił się wołno i walczył aż do końca o każdy łyk powietrza. Noc jest lodowata a Jego czoło było mokre od potu, niektóre kropki spływały ciemnymi wężykami, jakby nie były potem ale krwią... Odychał ciężko, z rżeniem... Zaniemówiliśmy. Ja naprawdę nie wiedziałem co Mu się mogło stać. Gdybym nogi — zerwałbym się na równe nogi i uciekłbym z krzykiem jak od złego snu. Już wtedy... Ale byłem jak przykuty do ziemi. On stał nad nami, bełkocząc słowa które wypadły spomiędzy tego rżenia, jak iskry spod ostrzonego noża. Mówił cicho, ale mnie wydawało się, że krzyczy. I wiesz jak krzyczy? Jak kaleka — żebrak, który nie może precyzyjnie się przez tłum. Tyle razy słyszeliśmy ten krzyk spoza ciżby — ptaśi, lamentujący, żalony. A teraz to Jego głos wydawał się takim krzykiem. Dlaczego śpisz? powtarzał. Dlaczego śpisz? Nie śpiszcie. Potrzebuję was. Módlcie się. Czuwajcie. Módlcie się... Tylko

Anna Pagonowska

W I E R S Z E

P A S J A

*W obszar swej pasji sięgam —
Wiatr trawy przybił do ziemi —
Spłaszczona swą potęgą
Długim wyjęciem się cieniem*

*Podcinam ciężar spojrzenia
Każdego — zbyt płaskim mrokiem —
Nie wstrzyma nikt, nie dotknie
Cienia.*

P O K O R A

*Moja babka, ten ptak, jeszcze żyje,
Trzymamy się za ręce.
Szybę przechodzi szkarlatny zmierech i śnieg
Cóż daje litość?*

*Lecz jest pokora,
Dreszcz znieczulający
Na ból, życie i śmierć
Wskazuje lancet chirurga,
Różdżka.*

P R O C H

*Silnych konturów i łagodnych cieni
Nie stępił jeszcze mrok —
W zorzy jak w błyskawicy, z łańcuchów zieleń
Słowiczy grot
Otwiera serca.
Ojca proch
Drży wiarą moją jak krwią.*

pierwsza pokusa przychodzi sama. Piąta przychodzi z dziesiątą, z dwudziestą... Ostatnia razem ze wszystkimi innymi... Podniósł rękę, przesunął dłoń po twarzy, zataczając się, zawrócił ku miejscu, gdzie się modlił poprzednio. Przez chwilę był niedostrzegalnym cieniem w korytarzu mroku, potem znowu spłynął blaskiem jak podstawiony słońcu miecz. Wolno usuwał się na kolana. W ciszy, w której ciągle na nowo wybuchał grzmot potoku, słyszałem Jego jęk. Coś powtarzał boleśnie, kilka tych samych słów. Wciąż na nowo — jakby śpiewał.

Nie wiem co mówił — ale to było ciągle to samo. Czasami powtarzał prędzej, gorączkowo — czasami wolno, niby z zastanowieniem. Co On mógł mówić? Lęk mnie ogarniał coraz większy. Powiedział, abyśmy się modlili, mnie jednak słowa psalmów kamieniały w ustach: obracałem je, nie mogłem ich przelknąć, nie miałem siły, by pójść dalej. Piotr coś bąknął, że skoro nas Mistrz potrzebuje, to powinniśmy czuwać. Ale widzisz, rabbi, ten sen, który teraz odszedł całkiem ode mnie wydał mi się wtedy jedyną drogą ucieczki... Kiedy posłyszałem, że Piotr chrapie, poczułem zazdrość... On już się nie bał — a ja się ciągle bałem!

Czy myślisz, że nie rozumiałem go, Justusie? Trzęsąc się, gdy opowiadał, niby trawa lizana przez ogień, czułem, że i we mnie rośnie palące pragnienie nie snu — lecz niepamięci! To nasz ratunek, gdy możemy uciec w sen. I ja nie boję się snów. Czy On jednak w Swojej męce wiedział, czego się więcej boi: snu czy jawy? Co kryje dla Niego większe niebezpieczeństwo?

— Więc znowu zasnąłicie?

Zajączał jak ktoś uderzony w nie-zabliżoną ranę.

— Tak się bałem, — szcząkał zębami, — tak się bałem...

— O! wtedy oni przyszedli i porwali Go?

— Nie — odparł. — On zbliżył się do nas jeszcze raz. Już nie jęczał, nie płakał. Tylko tak okropnie boleśnie rzekł: teraz możecie spać... Patrzyliśmy na Niego, trąc oczy. Wstydziliśmy się... To ma! On mówił, że potrzebujemy nas! Dlaczego nie powiedział, że to była ostatnia chwila? Wiele razy powtórzył: proszę, czuwajcie za Mną... Czy mogłem wiedzieć? Bo nagle rozległy się krzyki, pomiędzy drzewami zajaśniał czerwony blask pochodni. Tamci oto czyli ogród i teraz nadchodzili ze wszystkich stron, pewni, że się im nie wymkną. Od razu porwaliśmy się na nogi. Ja chciałem uciekać. Ale Piotr, który miał miecz, wyrwał go z pasa i począł gorączkowo pytać: Czy mam ich bić, Panie? Czy mam ich bić? Posłyszeliśmy wystraszony krzyk — to obudziła się reszta naszych. Tymczasem służba świątyni zaciskała krąg. W falującym blasku pochodni widziałem miecze, kije, włócznie, tarcze, twarze ludzi gniewnie coś wykrzykujących. Naraz wyskoczył Piotr...

Lecz On, Justusie, zgromił najwinniejszego ucznia. Uleczył ranę którą tamten zadał jednemu z pachołków arcykapłana. Czyż nie mógł uciec — On który kilkakrotnie zniknął z oczu tłumu? Wprawdzie powiedział: teraz już nie będzie cudów... teraz trzeba mieć torbę i miecz... Miecz? O jakim to On mieczu mówił, skoro nie pozwolił walczyć Piotrowi?

Jeszcze Jakub nie skończył opowiadać, gdy ktoś począł się dobijać do drzwi. Serce we mnie zamarło. Pomyślałem sobie, że w tę noc oni chcą skończyć ze wszystkimi przyjaciółmi Nauczyciela z Nazaretu. A ja przecież nie byłem Jego uczniem! Słuchałem Go tylko... Pobiegłem na taras — oczy mi zachodziły

mgłą, tak szybko pracowało serce. Ale na dole stał tylko jeden człowiek. Kto tam? — krzyknąłem. To ja, Chaj. Poznałem jednego z ascharów. Czego chcesz o tej porze? Arcykapłan kazał ci powiedzieć, rabbi, żebyś przyszedł zaraz do świątyni. I prędko. Cały Sanhedryn zbiera się tam za chwilę. Będzie sąd nad Buntownikiem z Galilei... Nocą? Tak. Nie może być sądu po nocy! Prawo zakazuje... Nie wiem, rabbi, nie znam się na pismach. Tak mi kazano powiedzieć... I biegnę dalej... Zniknął w ciemnościach

Wróciłem do izby na dole. Jakub stał ciągle pod ścianą, znieruchomiał, bolejący. On — czuję to — nie może sobie darować tego snu.

Wacław Rola

OPOWIADANIA ZAWIEYSKIEGO

Twórczość Zawieyskiego, obejmująca dramata, powieści i essay, spotkała się już z wyczerpującymi omówieniami. Ostatnio Zawieyski wkroczył pewnym krokiem w nowy gatunek literacki — w opowiadanie. Mieliśmy możliwość poznać dotychczas trzy jego prace tego rodzaju, drukowane w prasie.

Pierwsze z nich — to „Pokój głębi“¹⁾. Stawia w nim autor problem drogi człowieka „od krańca zwątpienia po kraniec gorącej, namiętnej wiary“. Nie wszyscy za otoczenia kompozytora Ludwika Zadruskiego rozumieją ogrom przemiany wewnętrznej tragicznie zmarłego. Zawieyski w „Pokoju głębi“ wyraźnie ukazuje nam to niezrozumienie. Czując w ową straszną noc po śmierci Ludwika — Klementyna, Aniela Lutyńska, dr Ciżewski, Michał Borucki — pojmują tę tylko część jego życia, w której sami bezpośrednio uczestniczyli (jeden tylko ks. Rycerzyk ogarniał swoim umysłem i sercem całą drogę przyjaciela, zawieszoną między doczesnością a wiecznością). Nie dziwnym im się jednak: nikt nie może tak się wgłębić w drugiego człowieka — mawiał Ludwik — aby go przejrzeć do głębi. Tę umiejętność posiadają tylko ludzie obdarzeni Łaską, święci i artyści. Postaci te, ze swoim cząstkowym zrozumieniem Ludwika, spełniają rolę rezonansu, który pozwala należycie zrozumieć słowa zapisane przez zmarłego w notatniku, które ze łzami w oczach odczyta nam ks. Rycerzyk: „Wybrałem większą miłość, odrzuciwszy mniejszą. Móc wyrazić to w muzyce! Móc wyrazić to, co jest we mnie teraz: pokój, który jest pokojem głębi. Nic nie znaczy, że na powierzchni zderzają się w walce sprzeczne siły. Nie zamąci to głębi, gdyż nie należy ona do świata“.

„Spotkanie z Emanuelem“²⁾ — to dzieje miłości macierzyńskiej Marii Gonetowej do syna Janka, który przed wojną był „po prostu zwykłym, dość miłym chłopcem“. Miłość ta nie była jednak zwykłym matczynym uczuciem — Gonetowa „była cała w Janku“, „...broniła swego wyłącznego prawa do Janka“. W okresie okupacji pozwoliła mu wprowadzić do domu obojętne, ale zesłała w podziemie razem z nim, gdyż wydawało się jej, że tym uchroni syna od niebezpieczeństwa. Aresztowano jednak ich oboje, Gonetową zesłano do obozu, a Jankę odbity został z żandarmskiej

1) Jerzy Zawieyski: „Pokój głębi“ Opowiadanie. Tygodnik Powszechny, nr 200—202, styczeń 1949.

2) Jerzy Zawieyski: „Spotkanie z Emanuelem“. Znak, nr 18, maj-czerwiec 1949.

Jak to on powiedział? Mistrz potrzebował naszego czuwania... Prosił abyśmy czuwali... A on zasnął. Lecz z tym wszystkim on przynajmniej spał obok Niego... Cóż pomogą żale? I tak byśmy Go byli nie ocalili! Ani nie ocalimy, jeśli się On sam nie zdoła ocalić. Nie zdoła, czy nie zechce? Nie zechce — to non sens! Mesjasz, który przyszedł, lecz nie chce zwyciężyć — to klęska wiary w Mesjasza. A jeśli nie zdoła? Wtedy oznaczałoby to, że On nie jest Mesjaszem. Co lepiej: wiedzieć, że myśmy się omylili, czy wiedzieć, że sama wiara jest złudzeniem? Dość! Dość! Nie zdołam tego rozwiąć! Muszę iść. A może lepiej udać chorego? Co na tym wygram? Że Go osądzą beze mnie? Lecz jeśli On

tylko dlatego oddał się w ich ręce, aby wobec ich sądu okazać całą Swoją moc? Byłbym wtedy jak pływak, który tonie przy samym brzegu... Nie, iść trzeba. Nie jestem jak oni, jak ten Jakub, który teraz drży nad swoim łękiem. Nie zagnałem ich upajających dni galilejskich. Przyszedłem na końcu, na ostatnią chwilę. Myślałem, że to będzie chwila triumfu. A tymczasem — to może być chwila gorzkiej klęski. Trudno. Tak bywa, gdy gra jest ryzykowna. Może teraz będę żałował wszystkich swoich wahań, a może będę sobie wyrzucał, że nie zważałem się raz jeszcze... Dość! Trzeba w końcu być kimś... Trzeba wypić swoje wino. Już idę. List zwijam i zabieram ze sobą. Jeśli napotkam

pod Kystosem odjeżdżającą karawanę, poślę ci go jeszcze dziś. Oh, czemu cię tu nie ma, Justusie! Powiedziałbyś mi może, co mogły znaczyć Jego słowa! Oddaj Mi swoje troski...? Co one znaczą? Dlaczego On chce wiać moje troski? I jak to zrobić, aby Mu je oddać? Niestety, nikt mi na to nie odpowie... O Justusie, gdybyś mi chociaż umiał powiedzieć, czy On jeszcze czeka? Bo mówił czekam... Mówił, jak mówi o wodzie człowiek na pustyni... Lecz teraz On jest więźniem, któremu grozi śmierć... Czy mogę więźniowi dołożyć jeszcze ciężaru? Przecież jeśli nie On — to kto? Tylko On tak ich gorąco pragnął...

Jan Dobraczyński

„budy“, wiozącej go na śledztwo. Od tej chwili zaczynają się w nim dokonywać poważne przeobrażenia wewnętrzne, których narastanie utrwała w pamiętniku w formie listów do matki. Po wojnie, w której Janek ostatecznie (w czasie powstania) ginie, Gonetowa odkopała spod gruzów pamiętniki Janka, nie mogła jednak zrozumieć jego zmiany, nie mogła naczytać za rozwójem duchowym syna. Było to dla niej niemal większą tragedią niż sama śmierć Janka. Syn pomógł jej jednak: „Czuła jak ją prowadził, jak mówił miłymi słowami rzeczy, które teraz dopiero zaczynała rozumieć“. Narrator spotyka ją w dniach, w których była już niedaleko Boga, którego Janek poznał właściwie przy końcu swojej drogi.

Wreszcie trzecie opowiadanie. „Koniec ucieczki“³⁾ — to droga powrotu dra Mrowca do Boga. Droga Mrowca jest zupełnie różna od drogi Zadruskiego z „Pokoju głębi“; Mrowiec, to typowy Don Juan, tak typowy, że trzeba będzie aż ukuć zarzut pod adresem tej postaci — ale o tym za chwilę. Mrowiec „...w nic nie wierzył...“ i „...był przekonany o nicości i bezsensie życia“. Strata jednak porzuconej żony i syna wpłynęła na przemianę wewnętrzną doktora, który po wielu dramatycznych zmaganiach z sobą odnalazł porzucony ongiś cel.

Aby należycie określić i ocenić ciężar gatunkowy opowiadań Zawieyskiego należy przypomnieć, jakie drogi pisarzowi-katolikowi ukazuje sam autor. W jego artykule („Zagadnienia literatury katolickiej“, Tyg. Powsz. nr 116) czytamy: „Literatura katolicka ma wiele dziedzin nowych, nietkniętych przez literaturę laicką. Wymienię te, które mnie samego, jako pisarza interesują: — jak wyrazić działanie Łaski? jakim językiem komunikatywnym nazwać jej konkretne skutki? — jaki ładunek dramatyczny zawiera w sobie to, co szlachetne? — w jaki sposób dać wygląd dobra? — jak wyrazić problem wejścia na drogę wiary?...“ — Wiele z tych słusznie uchwyconych problemów Zawieyski postawił i rozwiązał właśnie w swych ostatnich opowiadaniach.

Przystąpmy jednak do trudnego zadania oceny opowiadań Zawieyskiego. Otóż największa ich wartość polega na tym samym, co i wszystkich innych utworów tego pisarza: na wadze problematyki. Twierdzenie, że wartości duchowe zawarte w treści dzieła sztuki stanowią o jego wartości, stało się już jedną ze znanych prawd. Zawieyski nigdy nie

zajmuje się marginaliami — podobnie i w swoich ostatnich opowiadaniach dotarł do najbardziej ważkich dla katolika problemów, ukazał nam ludzi walczących ze złem, dźwigających się ku niebu, nie w prometejskim zrywaniu, lecz w pokornym pragnieniu owego „pokoju głębi“, polegającego na oglądaniu Boga. Ukazał nam ów „Koniec ucieczki“ — i w tym jego optymizmie, w tej chrześcijańskiej ufności w sens świata, w miłość i wszechmoc bożą tkwi największa wartość jego opowiadań.

Wartościom ideowym opowiadań Zawieyskiego odpowiadają walory „formalne“. Przede wszystkim: konstrukcja opowiadań. Wraz z tokiem akcji narasta w naszej świadomości znajomość bohatera. Wprawdzie we wszystkich trzech opowiadaniach konstrukcja jest analogiczna (w przeciągu krótkiego czasu poznajemy całe życie bohatera, przeważnie z relacji osób trzecich). Ale sądzę, że Zawieyskiemu maniera nie grozi. Cenny jest również autentyzm psychologiczny postaci, z których każda jest „wykończona“ i nie wykrywana żadnym zbytecznym grymasem (z wyjątkiem może Michała Boruckiego z „Pokoju głębi“, bo znamy go zbyt niedokładnie na to, aby zrozumieć, dlaczego właściwie cieszy się on tak dużym uznaniem Ludwika, którego jako człowieka nie rozumie. Chyba same „sprawności techniczne“ Boruckiego nie wystarczały Zadruskiemu?).

Na uwagę zasługuje także styl Zawieyskiego — skoncentrowany, stroniący od wszelkiego pięknouchostwa, a jednocześnie daleki od wszelkich wulgaryzmów, oszczędny skromnością, która jest „pięknym męskim wstydem“.

Stwierdzenie pozytywnych osiągnięć Zawieyskiego nie zwalnia z obowiązku wysunięcia pod jego ad-

resem zarzutów, dotyczących kilku błędów omawianych opowiadań.

Przed wszystkim — „Koniec ucieczki“. Na opowiadaniu ujemnie zaciążył wyartyły motyw Don Juana, porzuconej żony i innych tego rodzaju akcesoriów, zapoczątkowany bodaj czy nie przez „Don Juana z Sewilli“ Prospera Merimee i podjęty później przez literaturę wcale nie pierwszorzędą. Zawieyski podszedł do tego tematu oczywiście inaczej; może nawet głębiej niż Merimee — ale to nie uratowało od przykrego wpływu znanego „leit-motivu“. Artyzm nie dosięgnął idei, popsuł proporcje opowiadania.

Drugi zarzut: nie jest zjawiskiem pozytywnym powtarzanie się w kilku utworach jednego pisarza. Motywu pamiętnika („Droga do domu“ i wszystkie opowiadania), któremu w dodatku Zawieyski wyznacza zawsze tę samą funkcję zaznajomienia czytelnika z postacią utworu. Wszędzie też jest to główne źródło poznania bohatera.

Trzeci zarzut wysuwam w pełnej świadomości, iż nawrót pewnych idei czy koncepcji myślowych pochodzi u Zawieyskiego z głębokiego ich przeżycia. Mimo to jednak raz czytelnika jeśli w opowiadaniu „Koniec ucieczki“ spotyka on słowa niemal „żywem przepisane“ z „Owoce czasu swego“ („Był jedyny i nie powtórzony w nikim...“, str. 574), raz także czytelnika, jeśli w „Spotkaniu z Emanuelem“ Janek modli się słowami „Odbierz nam naszą wolność, bo nasza wolność jest naszą niewolą, i zeslij nam łaskę“, słowami, które niemal w tej samej wersji powtórzy ks. Rycerzyk w „Pokoju głębi“.

Zarzuty te każe formułować przekonanie, że wszelka ryczałkowość sądów i ocen byłaby w stosunku do Zawieyskiego niesprawiedliwym i obrażającym pisarza uproszczeniem.

W. Rola

Do wszystkich naszych Czytelników zwracamy się z apelem,

aby stali się naszymi prenumeratorem

bowiem

PODSTAWĄ BYTU PISMA

1051

PRENUMERATA

Konto PKO I-727 Warszawa

Administracja „Dziś i Jutro“
Warszawa, ul. Mokotowska 43

Film

„Dom na pustkowiu“

„Dom na pustkowiu“, scen. J. Iwaszkiewicz, reż. J. Rybkowski, zdjęcia St. Wohl, oper. F. Sredniczki, muzyka J. Maklakiewicz, wykonanie: Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia pod dyrekcją Witolda Rowickiego, dekoracja Roman Mann, montaż Lidia Pstrokońska. Wykonawcy: Aleksandra Śląska, Maria Gella, Jerzy Słowiński, Krystyna Ciecchomska, Halina Drohoczka, Edward Dziewoński, Klemens Mielczarek, Zbigniew Skowroński i inni.

Scenariusz filmu został pomyślany jako analiza określonego środowiska, określonego typu człowieka — ale

ciocia Kazia i siostrzenica Basia stwarzają swój mały światek poza nurtem świata rzeczywistego. Realnie i konsekwentnie zostaje ustawiona sylwetka cioci Kazi. Jej obojętność i całkowita bierność, jej tendencja do usunięcia się od problematyki okupacyjnej została wyjaśniona psychologicznie i środowiskowo. Ideologiczna inercja Basi, brak wszelkich zainteresowań, niemal idealna bierność nie wydaje się wyjaśniona. Rodzice Basi zostali zamordowani przez Niemców, ten osobisty cios musiałby przy najidealniejszej bierności obudzić jakąś reakcję, bunt, sprowokować zajęcie ja-

ty w biały dzień w odsłoniętym miejscu tuż pod Warszawą itp.).

Film jest zbudowany w ten sposób że ekspozycja jest wbudowana częściowo w całą akcję, częściowo wyrażona przez wątek retrospektywny. Wątek ów kompozycyjnie, słuszny w noweli, w filmie wydaje się sztuczny, nie wynika naturalnie z akcji, sprawia również wrażenie nieporadności kompozycyjnej. (Ponieważ nikt nie wie dlaczego Hubert musi się ukrywać i akcja jest tak zbudowana że to dla wszystkich musi zostać tajemnicą, scenarzysta każe Hubertowi w poprzez wspomnienia zdradzić tajemnicę tę widzowi). Wątek trwa 10 minut, jest za długi i za wiele w nim elementów przypadkowości. Hubert przypadkowo aresztowany przypadkowo odbity, przypadkowo ratowany, przypadkowo trafia do domu w którego sąsiedztwie montują fabryczkę zbrojeniową ludzie z którymi pracował w fabryce. Zmiany w montażu, wycięcia poszczególnych scen wprowadzają niezamierzone efekty komiczne. (Bujna broda, która nieoczekiwanie wyrasta konspiratorowi mimo woli, urodzenie się cielaka i odezwanie się cioci „opowiedz mi o cielaku“, a następnie przejście na Huberta rozłożonego w fotelu z kotem na brzuchu co wywołuje uwagę, że z kolei bohater okocił się, fragment montażu w połowie filmu, kiedy Hubert w melinie konspiracyjnej zadaje pytanie „co chcecie abym robił“ a bezpośrednio wmontowany obraz pokazuje Basię w łóżku itp.).

Dialogi filmu wzmocnione przez niezamierzone komiczne efekty montażu mają akcenty niepotrzebnej trywialności. (Słowa Basi „kocisko chce sobie ulżyć, widać poczuło wolę Bożą“ zestawione z obrazem nocnych wędrówek Huberta, słowa Wicka o „przychówku“).

Wysiłek artystyczny realizatorów filmu wyraża się przede wszystkim



Powrót z wyprawy po broń zrzutową

analiza z pozycji nie sprecyzowanej ideologicznie. Problematyka jednostkowa, zwrócenie uwagi na reakcje podmiotowe, uczuciowe, na osobiste jednorazowe, konflikty determinują charakter kameralnego psychologicznego dramatu. Można dyskutować czy ten typ problematyki jest dostatecznie ważny na to aby z tematyki okupacyjnej wybierać małe jednostkowe przeżycia małych ludzi, czy wreszcie ta problematyka osobista została słusznie i zgodnie z naszym doświadczeniem ustawiona w kontekście wydarzeń okupacyjnych, natomiast wydaje się bezsporne, że jest fałszywą drogą próba zdynamiczowania ideologicznego tej problematyki przez mechaniczne wprowadzenie realiów historycznych. W pierwotnej koncepcji autora „Dom na pustkowiu“ miał swój określony styl, był typowym dramatem psychologicznym. Scenariusz pokazywał marginesy historii, czynił ośrodkiem zainteresowań uczucia dwojga ludzi, wydarzenia okupacyjne traktując jako tło potrzebne jedynie do tego, aby usprawiedliwić, wyjaśnić rozwój fabuły. Z wielkim pietyzmem oddawał cały wdzięk tej bladej ale zgrabnie skonstruowanej nowelki, film stanowił zwartą artystycznie całość. Później marginalną, jednorazową problematykę głównego wątku mechanicznie przedstawiono z kulis historii w samo centrum wydarzeń. Pierwsza część filmu pozostała niezmienną, natomiast w drugiej włączono bohaterów filmu w zdarzenia historyczne czyniąc to tak, że ów zwrot nie został umotywowany psychologicznie, pozostając jedynie zwrótem fabuły. Zarysowała się wyraźna linia między wprowadzonymi realiami określonego historycznie czasu i głównym psychologicznym wątkiem filmu. Owe realia pozostały scenariem, nie wpływają na akcję, na rozwój bohaterów i ich przeżycia.

Akcja filmu rozgrywa się w 1943 roku. Dom na pustkowiu wyizolowany nie tylko przestrzennie ale i merytorycznie jest ścisłym miejscem akcji. Dwie mieszkanki tego domku — chociażby uczuciowo warunko-

wej postawy wobec problematyki okupacyjnej. Film nie wyjaśnia co wpłynęło na to, że ta młoda, wrażliwa dziewczyna całkowicie ulega tendencjom izolacjonistycznym cioci, że tak bezmyślnie podporządkowuje się zasadzie obojętności na wszystko przetrwania.

W pierwszej wersji filmu, kiedy ośrodkiem zainteresowań były pery-



Śląska, Gella, Słowiński

petie psychiczne bohaterów, zewnętrzne okoliczności nie miały właściwie żadnego znaczenia. Przypadkowość, kapryśność wypadków i sytuacji była zgodna z całym stylem filmu. W drugiej wersji owa przypadkowość robi wrażenie nieporadności kompozycyjnej, a naiwności w konstruowaniu klimatu okupacji wydają się chwilami wręcz karykaturalne. (Fragment konspiratora z małą dziewczynką chyłkiem przemycających się ulicą, niezaciemniony dom nauczycielki gdzie przez okno można precyzyjnie śledzić wnętrza, zru-

ciekawym debiutem reżyserskim Rybkowskiego, który umiał wydobyć z noweli Iwaszkiewicza maksimum wdzięku, trafnie obsadzić kobiece role filmu. Wybija się Maria Gella, której ciocia Kazia jest wielkim sukcesem aktorskim. Znacznie gorszy jest dobór wykonawców męskich ról Słowiński patetycznie tragiczny robi wszystko co może aby podkreślić papierowość postaci Huberta. Przedstawiciele konspiracji zostali dobrani wg drażniącego schematu, że skoro robotnik to musi być brzydki, mrukliwy i źle ubrany. Leszcz.

Tadeusz Chrzanowski

Trzy wiersze z muzyką

1. MIEJSCE NA ZIEMI.

Teresowi

Pod niezwykłym jazzu wrzaskiem
krótki rytm budzi boogie.
Pośród nierozsądnych par
glupie kregi toczy parkiet.

A jazz srebrem pod sufitem —
i tupotem pod podłogą —
hermesowym nagli skrzydłem
nasze nogi taniec wartki.

Pod niezwykłym jazzu wrzaskiem
po małej ziemi drepcesz —
miejsca szukasz na tej ziemi
przy niezgrabnej mej pomocy.

Włosy twoje laskocące
o mój bliski oddech czeszesz.
Włosy twoje bardzo mocne
są z Schampoону i młodości.

Nasze miejsce ciągle inne
(jak gwiazdozbiór niepoważny!)
Gdzieś za nami wrzaski jazzu
i świat cały bardzo straszny —

o to boogie budzi rytmy
i prowadzi nas bez sensu
po parkiecie nieomylnym,
po tym naszym ciasnym miejscu.

2. WODA POETYCKA.

Nie barokowej metafory,
ani romantycznego mirtu —
ale ci trzeba mocnej strofy
z ust pełnych nurtu.

I treści trzeba, której nie splączesz,
ale osłonisz od wiatru.

Trzeba ci bardzo lekkich wiolonczel —
bardzo szerokich klawiatur.
Oddech muzyki niech będzie z tobą —
co przetrwa lecąc...
i tych wiolonczel i tych klawiatur
najwięcej.

Nic inkrustacje, metafory,
strojone szepty —
i nic muzyka.
Jak jezioro.

— przepłyn — !

Okrągłym echem przyjmie cię woda —
otoczy — wchłonie — nie odda.

Lecz ta woda chłodna i miękka
przez niewprawne przecieka ręce —
nie odejdziesz, bo to jest piosenka,
lepiej zawsze —
z piosenką —

w piosence — — —

3. PODOBIENSTWO O MUZYCE

Nieodmiennie płaczą opery
bardzo smutne i trochę próżne —
a Harnasi śpiewy na wierzach
rozniecają zachody późne.

Fajerwerki — to uwertury,
a symfonie — to bujne freski.
I piórami są klawiatury,
i skrzydłami ptaków niebieskich.

Pomieszane wszelakie dzieło
z myślą maga i mechanika.
A fałszywych lez jeszcze pełno,
gdy już bardzo blisko muzyka.

Nieodmiennie płaczą opery
i zawodzą rodzinne walce...
a wiersz mówi wersety wierne
dawnym wzorom —

i błysnie fałszem!

Bardzo prosto chciałem to złożyć,
lecz oszczędnie trwa słowo trafne —
i przychodzi wichur przemożny
strącający owoce w trawę.

Jeszcze płaczą się ornamenty —
jeszcze próżnie i jeszcze błędy —
wiedną „smutki“ — i błędną „księżyc“ —
bliżej —

coraz bliżej —

muzyce!

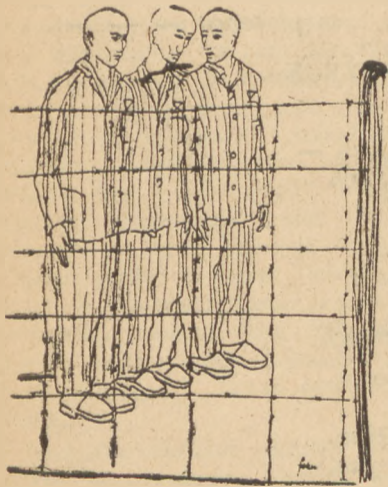
W SZYSTKO to było niezwykle. I jakby nierealne.

Niezwykłość całego zdarzenia mieściła się w owym dziwnym skojarzeniu wypadków. Oto wczoraj jeszcze układało mu się życie w kształt jego pracy w betoniarni. Minęły chwile pełne niepokoju i udręki, gdyż w betoniarni był dach nad głową. Przede wszystkim dach nad głową!... A pod dachem był on i jego koledzy, następnie płonący ogień w piecach i betonowe rury układane w długie rzędy. Dach nad głową i ogień w piecach!... Te dwa pojęcia urastały do znaczenia symbolicznego, były istotnym wyrazem zwierzęcej tęsknoty za dochowaniem życia... Wszystkie myśli i uczucia, najtkliwsze wspomnienia o swym dziecku i żonie, niewysłowione radości zaszczytowanego na śmierć człowieka mieściły się w tamtych dwóch rzeczach: dach nad głową i płomień w piecach.

Pod dachem spoczywają długie rzędy betonowych rur, a rury są szare i chropowate, ciężkie i ponure w swym bezwładzie. Pod tamtym dachem i w towarzystwie buzującego ognia w piecach, człowiek stawał się znowu człowiekiem. Dotychczas nie był człowiekiem. Był tylko zduszonym lękiem i skłębioną trwogą. Był zwierzęcym lękiem o niepotrzebne życie i trwogą przed śmiercią. Śmierć była głupia i podła. Piękniejszą śmierć posiadała wesz rozgniatana paznokciem na paznokciu. Lecz pod dachem nad głową i w kręgu rozpalonych pieców wracała utracona świadomość człowieczeństwa.

Dach chronił przed deszczem i śniegiem, ogień w piecach przed powolnym konaniem z zimna. Drzwi były tylko szeroko rozwarłe, a przez drzwi wpadał wicher i przywoził z sobą niemrawe uradowanie, że to nie on, lecz tamci inni współtowarzysze kulą się teraz, klną, płaczą i czekają śmierci. Uradowanie to było głupie i parszywe, jak sama śmierć w obóz. I gdy tak pomyślał, budził się w sercu żal, że tamci giną. A potem znowu radość, że on nie ginie.

Przez szeroko rozwarte drzwi wpadał wicher. Drzwi nie było wolno zamykać, boć przecież chodziło o ów wicher. Betonowe ru-



ry szybko wysychały w wicherze i żarze ognia. Ludzie pracowali, stękali z wysiłku, żuli przekleństwa w ustach, zgrzytały łopaty i grace, młaskały tłuczki w betonowej bryli, a kapo przechadzał się i popędzał do pracy. W ogniu zaś piekły się kartofle. W popielnikach przysypane popiołem, na rusztach, na skraju rozpalonych żużli. Zapach pieczonych kartofli sycił powietrze.

O te kartofle chodziło.

Skąd je koledzy zdołali wydobyć, jakim cudem przemycali je do betoniarni, nie wiedział. Od dwóch tygodni dopiero pracował tutaj i to był za krótki okres czasu, by przejrzeć wszystkie jej tajemnice.

Betoniarka chroniła przed śmiercią. Śmierć gdzie indziej przychodziła z mrozem i deszczem, nawiewała ją wicher, a uderzenie kijem wywoływało wrażenie, że ciało kostnieje. Stawało się nieczułe wzdłuż czarnej pręgi. Z początku tylko, gdy palce dotknęły śladu, przebiegały jakieś mrozące ukłucia. Potem i ukłucia zniknęły, a zostało tylko uczucie martwoty. W betoniarni zaś kapo nie bił. Wyjątkowo to był człowiek. Gdy zauważył, że wchodzi „Esman“, krzychał i wymyślał. Potem podbiegał, zrywał czapkę z głowy, wypreślał się w służbowej postawie i meldował przychlebny głosem, że ma tyłu a tyłu ludzi w pracy. „Esman“ słuchał nachmurzony, chlastał batogiem po cholewie buta, kiwał głową, a następnie szedł powoli między piecami. Ludzie śpieszyli się wtedy, on zaś szukał kartofli w rusztach paleńska. Kartofli jednak nie było. Ostrzegawcze wymyślanie kapa chroniło przed zaskoczeniem. Jeżeli bowiem kapo znacznie zniechęca krzyczyć, znak to, że nadchodzi „Esman“. Kartofle zniknęły za pazuchami, pod beczkami z cementem, pod korytami, tonęły w piasku wdeptane drewnianą podeszwą buta.

Potem „Esman“ wychodził. Kapo odprowadzał go do drzwi i jak długo milczał, wszyscy wiedzieli, że jeszcze nie czas. A gdy w końcu zawołał to swoje umówione: — Los! Los!... — kartofle wędrowały znowu do popielników, na ruszta, na skraj ognisk. Otrzymywał za to największe i najlepsze upieczone kartofle.

Wszystko to było jednak ogromnie śmieszne, jeżeli teraz zestawie owe zdarzenia z przeświadczeniem, że w tej chwili stoi pod gongiem i czeka na swój wyrok. Pod gongiem nareszcie odzyskuje utraconą ciszę w sobie. Zagubił się gdzieś strach przed śmiercią, i żal za dachem nad głową i za ogniem w piecu, i tęsknotą za dzieckiem i żoną, i niepokój przed przyszłością, a została tylko cisza. Cisza nie od razu nadeszła. Zstępowała nań powoli, jak przedranna mgła na ziemię. Mgła jest cicha, pachnąca wiosną, zaciera kontury widzialnych rzeczy, tylko rzeka szumi w niej jasnym srebrem, a tamte wysokie topole przed domem szumią ciemną zielenią. W takiej mgle nawet głos ludzki rozplywa się miękko i odchodzi bez żalu.

Dziwi go ta cisza we mgle. Oto stoi pod gongiem i czeka na swój wyrok. A w długim rzędzie stoją jego współtowarzysze i także czekają na wyrok. A naokoło nich jest mgła. W tej mgle rozplywają się czarne, jakby pomięte sylwetki ludzi. Sylwetki podobne są do kukieł uczynionych z brudnych, zawzonych szmat. Przed nimi lśnią na kolczastych drutach ciężkie krople dżdżu, jak krople srebra. Miejscami mżą czerwone i jasne światła wzdłuż murów. Wartownicza wieża, kanciasta i ponura, tonie w swym szczytem we mgle. Z czubka wieży przebija się jaskrawy snop reflektorowego światła. Snop światła potrąca bokiem wysuniętą lufę karabinu maszynowego. Nad karabinem stoi schylony człowiek i ślepi mleczne mroki.

A za nimi szumi obóz. Współtowarzysze schodzą się na plac apelowy. Dociera tutaj chrapliwy głos blokowych, jakieś krzyki, tępe klaskania kijów, lecz tamte głosy są podobne do zwitków waty. Wata jest brudna i nasyciona krwią. Krew zaś jest czarna i cuchnąca ropą.

Jeżeli się mgła nie rozejdzie, ludzie będą stali. Tak długo, dopóki nie przyjdzie wiatr i słońce. Wtedy mgła przemieni się w długie, jednostajne deszcze lub też

Gustaw Morcinek

opadnie, i wtedy niebo będzie ogromnie błękitne i blade słońce.

Teraz budzą się ptaki i kwilą we mgle.

Nad głowami przeleciał wielki czarny ptak. Łopotał namokniętymi skrzydłami, ciężko, z wysiłkiem i przepadł we mgle. I znowu jest cisza naokoło ludzi i cisza jest w nim.

Obejrzał się powoli. Obok niego stoi nieznaną kolega. Chudy, siny. Trzęsie się z zimna. Ten długo nie pociągnie. Może jeszcze dzisiaj wywloką go ze zwirowiska, rzucą na taczki i powiozą do krematorium. Po drugiej stronie stoi młodszy kolega. Twarz zacięta, dłonie zwinięte w pięści. Oczy jego są mocne i harde. Ten wytrzyma jeszcze długo. Następni niktą we mgle.

— A więc aż tyłu dzisiaj pod gongiem? — myśli i znowu raduje się podświadomie, że nie jest osamotniony. On jeden tylko jest z betoniarni. Ci drudzy z innych grup robotniczych. I podobnie jak z nim, stało się z tamtymi. Po prostu „podpadli“. Może wyprostowali zbolęte grzbiety i nie zauważyli, że nadchodzi „Esman“. Może była rewizja i znaleziono u nich kawałek szmaty, jakiś papierek, podniesiony niedopałek papierosa. Może na czas nie zdjęli czapki z głowy. Może byli już tak osłabieni, że nie mogli biec z ciężarem. Może rwali chwasty i żuli je, by oszukać głód. Może ktoś włożył zgrabiałe dłonie do kieszeni. Różne mogły być powody, „Esman“ zaś kazał ich zapisać „pod gong“. Najpierw skopał, spoliczkował, a potem kazał kapowi zapisać. Kapo zapisał, a dzisiaj każdy z nich czeka pod gongiem. Po apelu przyjdzie „Arbeitsführer“ z kapem, kaze zapisać numery, kapo zaś powiedzie ich do pracy w piaskowych dołach.

W piaskowych dołach nikt długo nie wytrzyma. W piaskowych dołach jest najbardziej mordercza praca. Ludzie skazani do tej pracy skazani są równocześnie na powolną śmierć z wycieńczenia i bicia. Każdy z nich będzie obsuwał się na kolana, potem runie głową w dół zalany żółtą wodą. Kapo popchnie go jeszcze nogą i już po wszystkim. Albo legnie na piasku, a kapo będzie go bił i bił, tak długo, aż tamten skona. Albo koledzy wywloką go na brzeg dołu i pozwolą mu spokojnie dogorywać. Potem go rzucą na taczki lub na wóz i powiozą do krematorium. Pod niskim niebem będą latały wrony i to będzie jedyny znak, że gdzieś tam jest wolność. Ich krakanie będzie jedynym głosem z wolności.

Sąsiad o mocnej, zaciętej twarzy, o twardych oczach rozglądał się powoli. Jakby teraz dopiero przychodził do przytomności z długiego osłupienia. Rozjaśnił się, uśmiechnął.

— O! I ty tu jesteś, Kazik!... — zawołał zdumiony.

— I ja tu jestem!

— Mnie nakryto, gdym palił papierosa! A co było z tobą? Byłeś w betoniarni, już ją diabli wzięli!...

— Kartofle!...

— Aha! Ale chyba się nie dały!...

Kazik spojrzął z wdzięcznością na sąsiada. Byłby mu uściśnął dłoń z radości, lecz stali daleko od siebie. Nie było im wolno rozmawiać, lecz mgła dozwalała. Nikt nie dojrzy, że zwracają się do siebie, że bezwiednie pomagają so-

bie dłońmi formułować słowa. Mgła gęstniała coraz bardziej. Przenikała zgniętą wilgocią przez drelichy i ziebiła. Na kolczastych drutach mnożyły się krople srebra. Głosy ludzkie za nimi matowiały i stawały się puszyste, miękkie, bez wyrazu. Zlewały się w cichy, głęboki szum. Czasami tylko zaskrzypiał żwir pod butami i we mgle przesunęła się twarda sylwetka żołnierza czy wartownika. Światła jarzyły się jak rozmazane



plamy na matowym szkłe. Plamy były żółte i martwe.

Tak, chyba się nie dały!... — powtórzył Kazik dobre słowa sąsiada. Kazikowi niepotrzebna ta zachęta. Cokolwiek się stanie, dobrze się stanie. Nie dlatego, że rezygnuje z walki. On nigdy nie rezygnuje z walki. Lecz cokolwiek się stanie, będzie zadość jego sumieniu. Teraz już ma nareszcie sumienie czyste. Uśmiechnął się do owych myśli. Jakże one patetyczne i śmieszne w swym heroicznym geście!... Czyste sumienie!... Tu nie chodzi mu o sumienie, tylko o tę upragnioną ciszę w sobie. A może to jest owo sumienie?...

— Wiesz, Heniek, co to jest sumienie? — zapytał półgłosem sąsiada o twardych oczach, o mocnej, zaciętej twarzy.

Tamten spojrzął zdumiony i prychnął krótkim śmiechem. Śmiech jego był podobny do słumionego szczeknięcia psa.

— Kazik, dureń jesteś!... — mruknął. — Powiedz raczej, jak to było z tymi kartoflami? Uwaga, idą!... — ostrzegł i wyprostował się, znieruchomiał.

Kazik posłyszał za sobą kroki. Szły powoli, bardzo powoli, zatrzymywały się, potem znowu zgrzytały na żwirze, minęły go, przeszły, utonęły we mgle. To byli wartownicy. Duży wilczur obwąchał mu dłoń i pobiegł za wartownikami. I w tej krótkiej chwili, gdy mu pies obwąchał dłoń, ujrzał tamtą scenę w betoniarni. Jego współtowarzysz Janek nie piekł kartofli, lecz gotował je w starej, zardzewiałej puszcze. Janek był młody i głodny. On zaś opiekował się Jankiem. Janek musi przetrzymać obóz i musi wrócić na wolność!... Tak, Janek musi przetrzymać. Gdy kapo ostrzegł swych ludzi, wszyscy schowali kartofle. Za pazuchy, pod beczki z cementem, wdeptali je w piasek. Janek porwał swoją puszkę z niedogotowanymi kartoflami i przerażony szukał miejsca, gdzieby je ukryć. Jeżeli nie ukryje na czas, czeka go pobicie i praca w piaskowym dole. A tam zginie!... Kazik pobiegł, wyrwał mu puszkę z kartoflami i schował pod swój cebrzyk. A potem ją szybko mieszać beton w kadzi. Stało się to w ostatniej chwili. „Esman“

POD

nie zauważył. Przechodził powoli, trząskając batogiem po cholewie swego buta i sycił się przerażeniem ludzi. Przy każdym piecu nachylił się i grzebał rękojeścią batoga w popielniku. Szukał kartofli. Przeszedł koło Janka. Spojrzał na niego spodobał i smagnął go po zgiętym grzbiecie. Janek zaskomlał boleśnie a „Esman“ roześmiał się zadowolony. Roześmiał się i kapo.

— Los!... Los!... — zawołał na Janka.

Janek jął szybciej mieszać piasek z cementem, „Esman“ poszedł na drugi koniec betoniarni. Teraz wraca. Zatrzymał się znowu przy nachylonym Janku. Przerażony Kazik widzi, że spod jego cebrzyka unosi się lekka para. To tamta nieszczęsna puszcza z gotującymi się kartoflami. „Esman“ także dostrzegł. Podszedł powoli i zniechęca kopnął w cebrzyk. Cebrzyk potoczył się pod ścianę, na ziemi leży wywrócona puszcza i rozsypane kartofle.

— Czyje to są kartofle? — zapytał z tłumionym zadowoleniem. Wciąż bije lekko batogiem po cholewie.

Współtowarzysze podnieśli głowy i patrzają. Czyje to są kartofle? Każdy wie, że to są kartofle Janka. Kapo też wie. Wszyscy wiedzą. Przerażenie dławi ich serca. Janek był drobny i taki chudy. Teraz mu śmierć pisana. Za tamte kartofle pójdzie pod gong, spod gongu do pracy w piasku, a tam czeka śmierć na niego. Szkoda chłopca!...

I wtedy Kazik zrozumiał, że zbliżyła się owa przedziwna godzina, na którą latami czekał. Podniósł się znad koryta, zdjął czapkę, stanął przed „Esmanem“ i rzekł spokojnie. Bardzo spokojnie.

— To są moje kartofle!...

Zwałił się na podłogę trzaśnięty batogiem przez głowę. Potem to kopanie butem!... To było chyba najboleśniejsze. A potem jeszcze owa radość w oczach „Esmana“, gdy kapo zapisywał jego numer i nazwisko, i gdy rzucił tamte słowa:

— Jutro pod gong!...

I teraz stoi pod gongiem.

Mgła wciąż trwa, reflektory wciąż się palą, plac apelowy wciąż szumi olbrzymim, uszeregowanym tłumem współtowarzyszy. W tym tłumie stoi gdzieś Janek i... I co?... Kazik nie może sobie wyobrazić, co w tej chwili myśli Janek. Może się modli, może się raduje, może... Któż to może wiedzieć?...

Z głębi mgły, spoza wysokiego muru doleciały go ludzkie głosy. Ktoś śmieje się głośno, odpowiada mu piskliwy chichot dziewczyn. Kazik wie i wszyscy wiedzą, że to są wolni ludzie, co w tej chwili idą na łękę do pracy. Dziewczyny wciąż zanoszą się śmiechem, a teraz jedna z nich coś woła. Nie rozumie jej słów, lecz słyszy jej głos. Głos zaś jest miękki i jakby nasycony piesszczotą.

Taki sam głos miała Monika z Lutyni.

Ujrzał ją w wspomnieniach idącą drogą koło starej gospody. W gospodzie znajdowało się dowództwo kompanii. Przy odrajanym stole urzędował Kmita, szef kompanii. To było na parterze. On zaś z drugim podchorążym pracował w sąsiednim pokoju. Kmita był ciężki, jakiś niemrawy, aczkolwiek świetny żołnierz. Kmita ze swą tępą twarzą i z tym wiecznym po-

GONGIEM

ciąganiem nosem był brzydki. Kmita żył w zamkniętym, ciasnym świecie, wypełnionym cyframi, wykazami i raportami. Poza tym nie było już dla niego innego świata. Tak długo, aż wreszcie i on dostrzegł przechodzącą koło jego okien Monikę.

Monika była młodą dziewczyną o jasnych, puszystych włosach, o niebieskich oczach, o dziwnie ujmującej urodzie. Gdy szła miedzą w krótkiej spódniczce, a wiatr owijał spódniczkę koło jej nóg, a słońce jarzyło się w jej włosach, Kazik ze zdumieniem spostrzegł, że rodzi się w nim dziwne uczucie. Zachwyt, radość, wzruszenie i takie śmieszne, ogromnie śmieszne pragnienie, by podejść do tamtej dziewczyny i dotknąć się przynajmniej jej dłoni. Wyobrażał sobie, że jej dłoń pachnie macierzanką, że ona cała pachnie macierzanką...

Potem z nią rozmawiał. Raz i drugi. Dziewczyna płonęła się i w zakłopotaniu skubała koniec fartuszka. Fartuszek był biały i pachniał chyba również macierzanką. Dowiedział się od usługowego gospodkiego Mędrka, że Monika jest córką kolejarza, że jest uczennicą gimnazjum w Orłowej, że kolejarz ów ma ośmioro dzieci, Monika zaś jest najstarszym jego dzieckiem. I że to porządna dziewczyna, jak w ogóle cała rodzina jest porządna. Ojciec nie pije, nie gra w karty, posiada domek na Kopaninach, dzieci wychowuje na porządnym ludzi i w ogóle. Porządni ludzie ci Zarembowie!... Bardzo porządni!... Tylko, panie podchorąży!... Niech pan podchorąży przebaczy, lecz ona, ta Monika, to nie jest taka byle jaka!... Co chciałaby latać z chłopami!... To porządna dziewczyna i grzech byłby ją bałamucić, a potem porzucić!... Lecz niech pan podchorąży przebaczy...

Sierżant Kmita także doznawał dziwnego wzruszenia na jej widok. Lecz nie umiał się do niej zbliżyć. Gdy próbował ją zaczepić na drodze, chociaż ją czynił w sposób niezwykle uprzejmy, dziewczyna uciekała.

Aż pewnego razu przyszedł do podchorążego Kazika, usiadł i długo kołował, kołował, pociągał bez przerwy nosem, aż w końcu wystękał, czyby pan podchorąży nie był tak dobry i nie napisał mu listu.

— Owszem, panie szefie, bardzo chętnie!... A do kogo? Do matki?... Nie! Do matki, to on potrafi sam napisać. Lecz do panny Moniki!... Monika mu się podoba, panna Monika bardzo mu się podoba i chciałby się z nią ożenić.

Jakie to wszystko niesłychanie śmieszne i zabawne. Pisał listy szefowi kompanii, panu sierżantowi Kmicie, do panny Moniki, a Monika je czytała i odpowiadała. Dziwne to były listy. Czyba jego najpiękniejsze listy w życiu. Nigdy już takich listów nie pisał, jak wtedy, gdy obok niego siedział sierżant Kmita o tępej, brutalnej twarzy i pociągał bez przerwy nosem. Och, jak go to pociąganie nosem irytowało!... Trzaśnie w tę prostacką mordę, wykpi jego idiotyczne amory, za drzwi wyrzuci!... Kmita sapął mu nad ramieniem, cuchnął potem i tym typowym kwaskowatym odorem, właściwym koszarom, i wdychał. On zaś pisał!... Zapominał wtedy, że to listy nie jego, lecz Kmity, że to on sam spowiada się przed tą jasną dziewczyną ze swych najtajniejszych uczuć, że klęka przed

nią i rąbek jej sukienki całuje, że korzy się przed jej urodą, że pragnąłby te ślady stóp całować, które zostawia na trawie w rosie, że ona jest jego całym światem, że ona budzi w nim najczystsze i najradośniejsze wzruszenie... Przypominał sobie czytane ongiś książki i z nich czerpał słowa, jakie człowiek kiedykolwiek mógł wypowiedzieć...

A potem wyjechał, Kmita pozostał.



— O czym myślisz, kolego?... — posłyszal słumione wołanie sąsiada.

— Nic, nic!... mruknął Kazik. Po co płoszy jego wspomnienia? Mgła rozjaśnia się, lecz nie ustępuje. Widać, słońce już wyszło i teraz ją prześwieca. Reflektory zgasły. Czarna wieża wciąż majączy zamazanymi konturami i ślepi swoją strugą światła ze szczytu, a struga światła wydobywa z mgły wystawioną lufę karabinu maszynowego i nachyloną postać wartownika w hełmie.

Przyszedł więc rozkaz i wyjechał z inną kompanią na wschodni front. W tumultu bitew, przygód, radości, klęsk i zwycięstw powoli zapominał o Monice. Bardzo powoli. Nie dowiadywał się o jej losie, nie chciał wiedzieć. Nie chciał nawet wiedzieć o losach Kmity i jego prostackim uczuciu żywionym do tamtej dziewczyny.

— Eh, pocieszyła się, zapomniawszy!... — mawiał.

Potem został zdemobilizowany i poszedł ukończyć swoje studia uniwersyteckie. Chwilami ludził się, że między koleżankami spotka Monikę. Wszak była uczennicą gimnazjalną, więc powinna pójść na uniwersytet. Mówiła mu ongiś, że pragnie studiować medycynę. Nie spotkał! Mijały lata, skończył studia, poszedł na posadę do gimnazjum w dalekim miasteczku małopolskim, zakochał się w swojej młodzieńczej koleżance i ożenił się z nią. Wspomnienie o Monice wygasło. Monika przestała istnieć. A jeżeli czasem przyplątało się wspomnieniu tamto uczucie, śmiał się z niego, nazywał je egzaltacją żółtodzioba, głupią, idiotyczną egzaltacją.

— A kto na ciebie czeka? — posłyszal znowu głos swego sąsiada Heńka.

Ocknął się z zamyślenia, otrząsnął ze wspomnień.

— Kto na mnie czeka? Żona i córeczka!... Gdy wrócę, nie pozna mnie!...

— A na mnie stara matka!... I znowu urwała się rozmowa, bo znowu słychać skradające się kroki. Przeszły, utonęły we mgłę.

Kazik przypomina sobie matkę. Pobożna, prosta wieśniaczka, patrząca w niego, jak w obraz. Przecież to jej jedyny synek najmilszy!... Jej jedyny synek!... Tak mawiała. Podczas wakacji poje-

chał do matki. Matka mieszkała w dalekiej, zapadłej wsi. I widzi w tej chwili, jak stoi w progu, jak czyni daszek z dłoni nad starymi oczami, jak potem wypada na drogę i wita się z nim, i całuje, i ścisła... A potem prowadzi go do izby, sadza za stołem i zaczyna surowym głosem.

— Była tu Monika!...

— Kto tu był? Kto taki?...

— Powiadam, że Monika!... Ty ją znasz dobrze!... Tak, nieszczęśliwa!... To twoja wina, mój synku!... To twoja wina!...

— Jaka wina? Nic nie rozumiem!... — Mówi a serce jego truchleje. Zwały się wtedy tamte wszystkie wspominki jak wichura...

I dowiedział się wszystkiego. Monika przyszła do jego matki. Płakała, bo szukała ratunku. Matka ją przysięgnęła. Monika mieszkała u niej przez cały miesiąc. I wszystko jej powiedziała. I te listy pokazała matce. Matka poznała, że to były listy pisane przez niego. Po charakterze pisma poznała. Monika czytała je matce i płakała. Te listy ją oszukły, zwiodły, uczyniły nieszczęśliwą. Była przekonana, że jeżeli ktoś potrafił tyle uczucia zmieścić w takich listach, to musi być człowiekiem dobrym i szlachetnym. Wysłała więc za Kmitę, bo była przekonana, że to on je pisał. A potem rozpoczęło się piekło. Kmita był samochwałem, zwodził ją swoją miłością, jego listami, obiecywał jej dostatnie życie, twierdził, że odziedziczy po ojcu 40-morgowy majątek. Wysłała więc za Kmitę. Okazało się, że to nieprawda. Że nie miał żadnego majątku. Że jego ojciec ma zaledwie biedną chatę z dwumorgowym poletkiem. Że jest brutalem. Bił ją, poniewierał. To było piekło. Pobita uciekła od niego i zdecydowała się pójść do matki tego, który był wszystkiego powodem. Bo gdy wymawiała Kmicie, że nie może zrozumieć, jak mógł kiedyś takie listy pisać, to śmiał się i śmiał, i powiedział, że pisał je nie on, lecz podchorąży Kazik. Poszła więc do jego matki, by powiedzieć jej o swej krzywdzie, jaką Kazik jej wyrządził!... A potem pojechała. Wróciła do męża swego, do rozpierzchłego, wydalonego z wojska byłego szefa kompanii, Kmity. A gdy odchodziła, powiedziała jeszcze, że jemu, Kazikowi przebacza, lecz...

— Lecz co? — zapytał wtedy Kazik.

— Czy ci Bóg przebaczy? — zapytała matka surowo.

— Pojadę do niej!...

— Nigdzie nie pojedziesz!... Głupi!... Masz żonę i dziecko!... Wracaj do żony i do swego dziecka!... Rozumiesz!...

Nazajutrz wyjechał. A gdy go matka odprowadzała na próg, stara już, podpierając się laską, zatrzymała jego dłoń w swojej dłoni i rzekła tylko:

— Musisz tę krzywdę naprawić! Jak, to już twoja rzecz!... Inaczej nie będziesz miał spokoju i czystego sumienia!... Pamiętaj!... — stuknęła laską o próg.

— Pamiętaj!... — zawołała jeszcze, gdy już konie ruszyły.

Kazik pamiętał.

Kazik pamiętał przez długie lata. Aż do tej chwili, gdy stanął pod gongiem.

Gdy wrócił do domu, żona była zdziwiona jego przemianą.

— Cóż tobie? — dopytywała go niepokoju.

— Cóż tobie? — dopytywała go niepokoju.

— Cóż tobie? — dopytywała go niepokoju.

— Cóż tobie? — dopytywała go niepokoju.

— Cóż tobie? — dopytywała go niepokoju.

— Cóż tobie? — dopytywała go niepokoju.

— Zmęczony jestem! — wymawiał się niechętnie.

A potem mijały lata pełne udręki i niepokoju. Gdy małe Zosia biegła do niego, przysięgnęła ją i całował, a równocześnie truchlała na myśl, że tamta niezawiniona krzywda będzie się mściła. Lękał się o Zosię, Zosia była drobna, słaba. Nie mógł się opędzić przywidzeniu, że Monika myśli o nim z goryczą i żalem, że może chwilami przeklina go, że może pragnie pomsty za swoje zmarnowane lata, za swoją zwichniętą młodość i marzenia. Gdyby wtedy był się oparł naleganiom sierżanta Kmity, gdyby mu wtedy był odmówił tej rzekomo koleżeńkiej przysługi, nie byłoby tego wszystkiego, co się stało.

Zosia stawiała się dzieckiem niezwykłym. W miarę wzrastania jego rozterki, dziecko przemieniało się w istotę przeculoną i wrażliwą. Potrafiła stanąć za biurkiem z drugiej strony i patrzeć dużymi, tajemniczymi oczami w jego oczy.

— Czemu tak patrzysz na mnie, Zosiu? — pytał ją nieraz.

— Tatusiu, bo ja umrę, a chciałam się napiatrzyć w twoje oczy!...

— Nie umrzesz dziecko, nie umrzesz? Cóż ty wygadujesz? — mawiał, a serce jego truchlało.

— Tatusiu, bo ty masz takie dziwne myśli!... — zaczynała innym razem.

— Jakie mam myśli?

— Ja je widzę. One są smutne. One są podobne do ludzi, którzy idą za trumną!...

— Chryste Boże, coż ty mówisz?... Idź spać, dziecko!...

Zosia szła spać, on zaś męczył się i bił z myślami. Przecież on jest niewinny! Gdyby zwierzył się przed żoną, powie mu to samo. Gdyby poszedł do matki i powiedział jej wszystko, i matka musi orzec, że jest niewinny. A jednak jest winny. Oto taki drobny szczegół w jego życiu, nie przemysłany, a takie przekleństwo za sobą wleczel!... Przecież Monika widziała, że Kmita jest niesympatyczny, że... No, po prostu powinno ją być zrazić do niego przynajmniej owo chlipanie i pociąganie nosem!... I te jego prostackie maniere, to brutalne zachowanie się wobec niej już w pierwszych dniach narzeczeństwa. Bo tak chyba było.

A ona jednak była opętana tamtymi listami. Myślała z uporem, że jeżeli Kmita był zdolny w ten sposób myśleć i pisać, więc nieprawda, iż może być innym człowiekiem, a nie tym, jakim go widziała na codzień. Tak, tutaj mści się jego wina!... A więc jednak jest winny! Chociażby żona i matka twierdziły inaczej, chociażby go przekonywali najwierniejsi przyjaciele, nie zdolają go przekonać.

Krzywdą wyrządzoną nieopatrnie Monice będzie wlokła się za nim, jak cień. I prześladować będzie go aż do śmierci. Chyba, że ją okupi. Lecz w jaki sposób okupić? Jak to uczynić?...

Przypominała mu się rozmowa z córką, która twierdziła, że umrze. Czyżby to dziecko zdawało sobie sprawę z jego winy i przejmowało ją bezwiednie na siebie? Bo jeżeliby Zosia umarła?... Nie, Zosia nie umrze!...

Zrywał się spoza biurka i wbiegał w pole. Wałęsał się bez celu, długo, do zmroku, potem wracał znużony, biegł do łóżeczka Zosi i uciszał się. Bo oto dziecko spało, spokojnie oddychało.

Potem Zosia zachorowała. Zwołał lekarzy, ci szukali w niej choroby, a znaleźć nie mogli. Kirwali przeto głowami, przepisywali lekarstwa i odjeżdżali. A Zosia uśmiechała się coraz bardziej, oczy jej stawały się coraz bardziej tajemnicze i wszystko jakoby wi-

dzące, coraz częściej przekonywała go, że widzi jego myśli, że są podobne już teraz do chorego czło-

wieka, który lęka się śmierci, że są innym razem podobne do kogoś, który na kolanach wlecząc się do miejsca odpustowego, by wyprosić przebaczenie!...

— Cicho, Zosieńko, cicho!... Nie mów tak, dziecko!... — prosił ją struchlały.

— Jeżeli tatusiowi przykro, to nie będę mówiła!...

Potem Zosia już nie wstawała z łóżka. Gasła powoli.

— Matko, módl się za nasze dziecko! — pisał rozpaczliwy list do matki.

Matka modliła się, lecz nie wierzyła w skuteczność swej modlitwy.

— Krzywda musi być odpokutowana! — powiedziała twardo, gdy przyjechał do niej.

— Lecz cóż temu winne dziecko?... — krzyczał wzburzony.

— Cicho, mój synku, cicho!... Krzywda musi być naprawiona!...

— Więc ty twierdzisz, że to moja wina? — krzyczał coraz bardziej.

— Twoja, nie twoja!... Ty ją na siebie przejąłeś, ty ją musisz odpokutować!...

Wrócił do domu, zastał Zosię bliską śmierci. Zwierzył się przeto żonie ze wszystkiego. Słuchała go skupiona i wcale się nie dziwiła. A potem tylko rzekła:

— Jedź do Moniki!...

Pojechał do zapadłego miasteczka, ponurego i biednego. Miasteczko było podobne do rozkisłego bajora, które obiadły pokrzywione chałupy z zapadłymi dachami, a w których mieszkali ludzie ze zgaszonymi oczami i z uwiedłym sercem. Długo szukał, zanim dowiedział się, że Kmita znajduje się w owym miasteczku.

— Gdzie mieszka tu pan Kmita? — pytał przechodzącego człowieka.

— A tam!... — i wskazał na drugi kraniec miasteczka. — Pod tamtą cerkiewką!... Czy pan dobrodziej także na pogrzeb?...

— Na jaki pogrzeb?...

— Ja się tylko tak pytam!... Widzę, że pan dobrodziej nie tutejszy. Bo widzi pan dobrodziej, dzisiaj u niego pogrzeb... Żona mu umarła!...

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

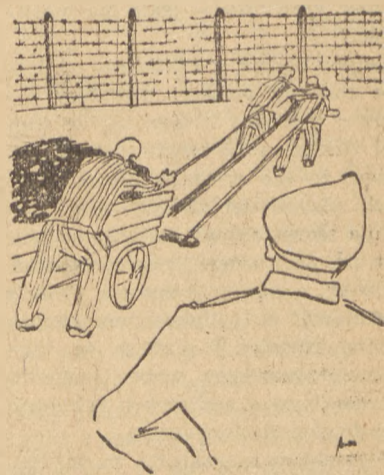
— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.

— Monika umarła?... — szepnął zduszonym głosem.



trumną!.. Pijacka twarz, opuchła, o przekrwionych oczach, śliniący się, patrzący tępo przed siebie. Prowadzi za rękę chłopca. To chyba ich syn?..

Pejechał do domu.

A za tydzień niósł w ramionach trumienkę z Zosią. Nie pozwolił jej nikomu nieść. On ją zaniesie na cmentarz! I zaniósł. A gdy już sypały się grudy ziemi na trumnę, pomyślał z goryczą, że chyba tamta krzywda została pomszczona!..

I znowu minęło kilka lat.

Potem przyszła wojna. W domu zostawił Haneczkę. Trzy lata liczyła, gdy go zabrano do obozu koncentracyjnego. W obozie już przebywa blisko cztery lata. A więc Haneczka liczy już dzisiaj siedem lat. Duża dziewczyna. Jeżeli wróci do domu, nie pozna go. Jeżeli jednak wróci?..

Rozglądając się ostrożnie. Mgła rzędnie, opada, krople srebra na kolczastych drutach straciły na blasku. Teraz one zmatowiły. Na wieży zgasł reflektor. Tamten żołnierz w czarnym hełmie wciąż stoi nachylony nad karabinem maszynowym i ślepi w dolinę na ludzi.

— No, mgła opada, za chwilę ruszą „komanda” do pracy!.. — zauważył Heniek.

Film

U G O R Y

Od dłuższego już czasu trwa na łamach prasy dyskusja jakie czynniki niezbędne są dla podniesienia poziomu filmu polskiego. Dyskusja trwa, ostrze jej skierowało się na zagadnienia scenariusza. Powtarza się zdanie, że brak jego jest największą bolączką filmu polskiego, jego „wąskim gardłem”.

„Jeślibym chciał napisać sztukę teatralną wystarczyłoby mi sięgnąć na półkę biblioteki i znalazłbym setki przykładów jak trzeba i jak nie należy pisać — jak mam rozgrzyść zagadnienie scenariusza filmowego, gdy nie ma materiału?” słyszałem kiedyś zdanie.

Istotnie — co ma robić przyszły autor? Czy kilkakrotne nawet obejrzenie filmu zastąpi dokładną analizę pełnego tekstu? Mówi się, że pisarz, który chce zostać dobrym scenarzystą musi „zochorować na film”. Jeśli to się stanie i zechce on pogłębić swoją znajomość filmu, poznać rzemiosło — jakie ma możliwości?

Gdyby sędzić o filmie na podstawie rozwoju polskiej literatury fachowej można by stwierdzić, że film jest dziedziną niezwykle łatwą, tak łatwą, że nie wymaga niemal żadnych wiadomości, żadnego przygotowania teoretycznego. Zastanawiający jest po prostu ten brak opracowań polskich, a nawet tłumaczeń. (Warto nadmienić, że sytuacja jest bardzo trudna również i dlatego, że literatura zagraniczna wobec istnienia jedynie bardzo nielicznych bibliotek jest trudno dostępna).

Słyszeliśmy zapowiedzi, m. in. (jeszcze w 1948 r.) zapowiedź ukazania się „Techniki pisania scenariuszy” E. Vale, książki wydawałoby się bardzo aktualnej. Spośród nich spełniła się tylko jedna. W przeciągu kilku lat jedyną dotąd pozycją, która ujrzała światło dzienne jest książeczka Andre Berthomieu pod szumnym polskim tytułem „Zasady sztuki filmowej” (tyg. oryg. „Essai de Grammaire Cinématographique”), wydana w grudniu 1948 r. przez Instytut Filmowy w Łodzi. Tej broszurki, która na 58 stronach pobież-

— A my za nimi do piaskowego dołu!..

— Lękasz się?... Wytrzymamy bracie!.. Musimy wytrzymać!..

Tak! My wytrzymamy, lecz tamten po prawej stronie nie wytrzyma. Stoi na załamanych nogach i siania się. Głowa jego opuszczona, z ust cieknie ślina. Za chwilę zjedzą współtowarzysze z placu apelowego, potem przyjdzie „Arbeitsführer” z kapem i popędzą ich spod gongu do kopania żwiru. Tamten po prawej stronie nawet nie dojdzie. Legnie na drodze i skona do wieczora. A inni?..

Kazik z dziwną ulgą wyczuwa w sobie spokój. Oto spełniła się miara sprawiedliwości, wina odkupiona. Śmierć Zosi nie była odkupieniem, bo przyszła za nią Haneczka. Teraz pyta się Heniek, czy się lęka? Wcale się nie lęka. Tak się miało stać.

Przypomina sobie jeszcze raz, jak to było. A więc tamten chłopiec uratowany. Ktoś powie, a mo że już po całym obozie chodzi wieść, że on poświęcił się za niego. A nikt nie wie, że to nie jest poświęcenie, tylko wyrównanie bolesnego rachunku.

Janka spotkał po raz pierwszy, przy dyszlu. Z dziewięciu innymi kolegami wozili koks do krematorium. On, jako najstarszy, szedł koło dyszla i kierował, reszta

współtowarzyszy pchała z boków i z tyłu. Niektórzy mieli zarzucone kije na ramieniu i ciągnęli tamten ponury ciężar. A wóz toczył się powoli. Od krematorium do stacji. Tam nasypywano koks na wóz, a gdy był pełny, ciągnęto go i pchano do krematorium. W krematorium czekali na koks więźniowie - żydzi. Zrzucali go na usypisko, oni zaś wracali na stację. I tak przez cały dzień. Potem jeden z jego kolegów przy wozie zachorował i poszedł do lazaretu po swoją śmierć. Na jego miejsce przyszedł młody 17-letni Janek. Janek był warty i słaby. Kapo ulitował się nad nim i pozwolił mu kroczyć obok dyszla. Chodziło o to, by udawał, że ciągnie. Odtąd codziennie przemierzali tę drogę, przedzieleni dyszlem, Kazik i Janek.

— Jak ty się nazywasz? — zapytał pewnego razu Kazik chłopca.

— Janek.

— Ale jak jeszcze?

— Kmita.

— Jak? Kmita?.. Czy twój ojciec był sierżantem w polskim wojsku?

— Tak. Lecz to było przed moim przyjściem na świat. Potem ojciec... no, właściwie to nie był niktym. Wódkę pił i..

— I co?

Chłopiec zawahał się. Lecz potem odrzucił hardo głowę i cisnął z nienawiścią:

— ...i matkę bił!

— I matkę bił!.. Monikę!..

— A skąd pan wie, że mojej matce było na imię Monika?

— Wiem. Twoja matka pochodziła z Lutyni.

— Tak! A skąd pan wie?..

— A kiedyś znałem twoją matkę. Ale to już dawno.

— Przepraszam! A jak panu na imię?

— Przecież wiesz, że wszyscy mnie znają pod imieniem Kazik. Chłopiec zamilkł. Kroczyli powoli, trzymając oburącz dyszel. Trwało to długo. Potem, zapytał twardo:

— Czy to pan pisał kiedyś do mojej matki listy, gdy była jeszcze dziewczyną?

— To ja byłem... — wyznał Kazik.

— Aha... więc to pan był!..

Wciąż to pan był!..

I znowu nastąpiło milczenie. Przez kilka dni nie rozmawiali z sobą. Chłopiec unikał rozmowy. Milczał, jeżeli go coś Kazik zapytał. Tak długo, aż „komando” ich rozwiązano i dostali się razem do betoniarni. I znowu razem pracowali. Chłopiec był wciąż milczący i zamknięty w sobie. Lecz pewnego razu nachylił się do niego, gdy mieszał piasek z cementem i szepnął mu do ucha. Jakby zwierzał się z niesłychanej tajemnicy.

— Gdy matka umierała, jeszcze myślała o panu. A listy pana, co pan pisał do niej, mam schowane w domu. Matka zawsze mi mówiła o panu...

Teraz już wszystko wyrównane. Krzywde naprawił, chłopca uratował przed zesłaniem do piasku i żwiru. Za chwilę pójdą wszyscy do pracy, bo mgła opadła. O już idą... Piątkami maszerują przez bramę, piątkami i piątkami... Churdzi, sianiający się, o błyszczących oczach. Czapki trzymają w prawej dłoni. Za chwilę przejdą wszyscy, a potem „Arbeitsführer” z kapem popędzą jego i tych drugich spod gongu do dołu, gdzie piasek i żwir będzie trzeba kopać i gdzie może śmierć czeka...

Gustaw Marcinek

Mikołaj

Rostworowski

Trasa lipcowa

Zygmuntowi
Lichniakowi



Chwała niech będzie Bogu za to,
że stworzył niebo, w które Traczyk
elektromonter z Mariensztatu
nocą lipcową się zapatrzył.

Błogosławiony miejski ogrodnik,
stróż grom świetlistych, lip i dzieci.
Błogosławieni bracia łagodni:
cieśle, murarze, architekci.
Błogosławiony lipiec...
Pamiętasz?

Będzie akurat pięć żniwnych lat.
Z pieśnią o Wiśle, jak broń namiętną
mościli życiem ten tu trakt.

Jest wielka cisza na Powązkach,
żebyś p a t r z a ł.
Świt o północy wstawał nad Śląskiem:
masz c z a s.

Na tej drodze wolno ci stanąć,
tak jak nie wolno było Im.
Tobie w twarz oddech Wisły,
siano,
— Tamtym wiał dym.

Ktokolwiek jesteś — na tym
trakcie
znalazłeś własny dom i kościół.
Cokolwiek szepiesz — zmówisz
pacierz
bo tutaj wszystko jest miłością.
— Nawet wałka...

Głosi upalnym manifestem,
że umie płynąć bezszelestnie,
raz ocieślała to zalotna,
szklista lub z lipcowego złota.

W czas sianokosów gaśnie mlecz
jak żółta latarenka,
więc ona na Zygmunta miecz
przenosi chybot piętna.

Spojrzeniem gładzisz strunę Mostu
— pogodnie brzęczy.
Zapaść w tę chwilę! Tak po prostu
jak w oczy dziewczyn.

I szczerze się omotać w trakt ów,
jak w chustę robotnicy,
która jest nocą Mariensztatu
nad sadem elektrycznym.

